

1956

10



Каменица

T R E Ś Ć

| | |
|---|----|
| WITOLD ŁOKUCIEWSKI: I znowu nad Kanałem | 1 |
| RYSZARD LISKOWACKI: Gorycz | 4 |
| Czy będzie defilada? | 4 |
| STEFAN ZARĘBSKI: Miniatury — Wrzesień; Dojrzewanie | 7 |
| PRZED ZJAZDEM ZWIĄZKU LITERATÓW: Wypowiedzi Eugeniusza Gołębiowskiego, Marii Bechczyc-Rudnickiej, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Anny Jakubiszyn, Stefana Wolskiego, Wacława Gralewskiego | 8 |
| HELENA PLATTA: Wiersz najmłodszy; Stare Miasto; Zebrak; Dachy Lublina; Przed pomnikiem Unii Lubelskiej | 11 |
| EDMUND GRZYBOWSKI: Demokratyzacja to nie slogan | 13 |
| STEFAN WOLSKI: Praca | 14 |
| ANTONI WALIGÓRA: Miasto z awansu społecznego | 15 |
| ADOLF LEKKI: Sprawy drażliwe | 19 |
| GRZEGORZ TIMOFIEJEW: Nad ranem | 22 |
| Z POEZJI ORMIANSKIEJ: Awetik Izahakian — Gałązce róży nie wrócisz zerwanej; Brwi twoich, miła, dwa ciemne promienie...; Z poezji ludowej — Dla miłej; Gdybyż rozplynać się — przełożył Bohdan Żyranik | 22 |
| KONRAD EBERHARDT: Poza i bohaterstwo | 23 |
| JEREMI KRÓLIKOWSKI: Komentarz do Wystawy | 27 |
| O OPERETCE BEZ SŁOWNIKA WYRAZÓW OBCYCH — C. | 29 |
| ZBIGNIEW STAWECKI: Wieczór autorski Z. Jakubika | 30 |
| FABRYKA DRUKOWANEGO SŁOWA — (w) | 31 |
| PODSUMOWANIE — M. S. | 33 |
| O CZYM PISAŁA „KAMENA” PRZED 20 LATY | 35 |
| JERZY STARNAWSKI: Lubelska Księga mickiewiczowska z r. 1898 | 35 |
| KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY — H. S.; (Z); K. M. | 37 |
| GŁOSY Z TERENU — (Z) | 40 |

WSRÓD KSIĄZEK I CZASOPISM:

| | |
|---|----|
| STANISŁAW ROLNIK: Nad „Nocą saską” | 41 |
| PRZEGLĄD WYDAWNICTW — jnk | 42 |
| SEWERYN ŚMIAŁOWSKI: Wycinki z prasy kulturalnej | 43 |

WOLNA TRYBUNA:

| | |
|--|----|
| MARIA SZCZĘPOWSKA: Wąsatych dzieci nie trzeba niańczyć | 44 |
|--|----|

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

(na 3 stronie okładki)

Artemida

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 10 (116)

Witold Łokuciewski

I ZNOWU NAD KANAŁEM

Major Witold Łokuciewski, jeden z dowódców słynnego Dywizjonu 303, chlubiącego się tak piękną kartą w historii lotnictwa polskiego, przebywa od kilku lat w Lublinie.

Major Łokuciewski brał udział w walkach powietrznych nad Polską, Francją i Anglią. Ma na swym koncie kilkanaście zestrzeleń i wiele wysokich odznaczeń bojowych polskich i zagranicznych. Ostatnio świetny lotnik opracowuje tom swoich wspomnień wojennych. Zaczynamy druk tych wspomnień fragmentem z okresu pamiętnej „Battle of Britain” w 1940 r.

Właściwie nic nie zapowiadało się specjalnego. Rano, jak zwykle, przyszedł batman¹⁾ i obudził mnie powiedział: „Czwarta trzydzieści!”, po czym zabrał buty i wymknął się z pokoju, aby ponownie zjawić się za kwadrans z filiżanką ciepłej herbaty i oczyszczonymi butami. Ubierając się spytałem o pogodę (okna były zasłonięte). „Fog”²⁾ — padła odpowiedź.

Schodząc na śniadanie do kasyna rozmyślałem: po co właściwie budzą nas tak wcześnie, skoro mgła i lotu nie będzie? Przy stole poprawił mi się nieco humor, gdy Jasio Zumbach zaczął opowiadać swoje przeżycia z ostatniego wieczoru... Nagle głos zawiadamiający, że samochód na lotnisko odchodzi, przerwał nasze rozmowy i wybiegliśmy czym prędzej. Po chwili byliśmy na miejscu.

Lotnisko, spowite gęstą białą mgłą, zdawało się spać spokojnym snem i tylko gdzieś tam ledwie zarysowywały się kontury drzew oraz sylwetki samolotów. Nagle zawarczał motor, jeden, drugi, trzeci... To mechanicy podgrzewali maszyny, żeby w każdej chwili gotowe były do startu. Zaniósłszy spadochron i haubę³⁾ do samolotu — poszedłem do dispersalu⁴⁾. Dowódca eskadry zakomunikował, że na razie lot nie jest przewidziany. Wobec tego położyliśmy się znowu.

Nie wiedziałem, kiedy usnąłem i jak długo spałem, gdy nagle oszołamiający huk walącej się żel-

aznej szafy poderwał mnie na nogi, a oczom przedstawił się widok niecodzienny: ściana baraku wylamana, a przez otwór w rozbitym oknie wylągał Hurrican! Po drugiej stronie Walery Żak ociera czoło skaleczone odłamkiem szyby... Niebawem wszystko się wyjaśniło. Oto po prostu „niesforny Dyzio”, jak nazywaliśmy jednego Anglika, chciał bliżej baraku ulokować swój samolot. Ale jego mechanik zapomniał z wieczora zablokować statecznik kierunkowy, a dość silny wiatr dmuchający w nocy spowodował, że przez ciągły ruch z hamulców wyszło powietrze. Na próżno więc „Dyzio” usiłował w porę zahamować, zwłaszcza, że był cokolwiek zaspany... Na szczęście maszyna wyszła z tej „wizyty” w baraku bez poważniejszego szwanku, więcej uszkodzony został jej pechowy pilot dzięki uszczypliwości naszych języków!

Ox wyjrzał na dwór i oznajmił, że mgła raptownie opada. Należy więc spodziewać się lotu! Antek zaproponował, żeby postrzelać trochę do rzutków. Zaakceptowaliśmy tę propozycję i już mieliśmy wyjść, gdy wtem zadzwieczał telefon i po chwili telefonista zapowiedział: „Scramble!”⁵⁾

Rzuciliśmy się do maszyn, w biegu dopinałem „Mae-West”⁶⁾ Jednym sussem wskoczyłem do samolotu, mechanik szybko podał mi pasy od spadochronu, przypasałem się. Mechanik woła: „Kon-

takt", powtarzam: „Kontakt“ i włączam iskrowniki: śmigło raptownie drgnęło, z rur wydechowych buchnął ogień, po czym silnik zaczął rytmicznie pracować. Przede mną kołują na start maszyny eskadry A, za chwilę kolej na mnie — już, szybko zwiększam obroty śmigła, samolot ruszył z miejsca i sunie po betonie. Włączam tlen, radio, zapinam maskę tlenową, zamykam kabinę i ustawiam się do startu. Po prawej mojej stronie sierż. Frantisek, po lewej ppor. Boguś. Dowódca dywizjonu podnosi rękę do góry i za chwilę cztery trójki Hurricanów odrywają się równocześnie od ziemi. Przesuwam dźwignię podwozia, zabłyśło zielone światelko, sprawdzam zegary, ciśnienie, temperaturę, włączam celownik. Przez radio słyszę dobrze od dwóch tygodni znany kurs 110°.



Mjr Witold Łokuciewski

Dzidek prowadzi dywizjon. Słońce zaczyna już dokuczać, świeci prosto w oczy. Spoglądam, jak wskazówka wysokościomierza systematycznie krąży na zegarze: 5, 7, 9, 14, 16 tysięcy stóp. Około 2 metrów przede mną bez przerwy sterczy kółko ogonowe mego poprzednika, numery boczne ciasno trzymają się prowadzących. Frantisek zbliżył się do mnie na jakieś 5 metrów, Boguś również.

Przez radio pada zapowiedź nieprzyjaciela. Dzidek daje rozkaz: „Szyk bojowy!“ Redukuję nieco gaz, zwiększam odległość od poprzedzającego klucza, z klucza tworzy się peleng⁷⁾.

Już poczułem pierwszy dreszczyk emocji! Odbezpieczyłem karabiny maszynowe, włączyłem kamerę fotograficzną. Rozglądam się po niebie: bezchmurne, tylko horyzont zamglony. Przed nami Kanał La Manche, a z lewej strony delta Tamizy. Nagle widzę, jak z przodu, poniżej nas, właśnie w tę deltę wrzyna się duże zgrupowanie Dornierów, około 60 sztuk, Dzidek przez radio zapowiada: „Uwaga, przed nami po lewej niżej Dornieri, atakujemy!“ Rzuciłem okiem w górę, żeby upewnić się, czy nie ma nad nami Messerschmidtów. Nie

widzieć. Momentalnie dochodzimy do czoła wyprawy. Pierwszy klucz Dzidka bojowym przewrotem nurkuje na bombowce, za nim drugi, przede mną Paszko też już odpląnął w dół — kolej na mnie! Dalem znak Frantisekowi i Bogusiowi, zwiększyłem obroty śmigła i przez plecy skierowałem samolot do ziemi, za mną Frantisek i Boguś. Odległość od Dornierów maleje. Widzę, że niektóre klucze niemieckie zostały rozbite, nawet dymiące maszyny odłączają już od zgrupowania. Szybkość wzrasta. Oto trójka Dornierów! Mijam ją z tyłu w dół, żeby za chwilę wyprysnąć świecą w górę i od spodu wziąć na celownik. Odległość już wystarczająca — 200 jardów, na celowniku sylwetka Niemca. Podchodzę jeszcze bliżej, naciskam guzik i serią z karabinów przecinam linię lotu bombowca. Smugowe pociski przelatują tuż nad moją kabiną. To strzelcy nieprzyjaciela dają znać o sobie! Dornier wykonuje nagły zakręt w lewo — przez moment uciekł mi z celownika — ale po chwili mam go znowu, strzelam i nareszcie widzę upragnioną smugę ognia z prawego silnika. Bombowiec wyciąga świecę w górę, następnie przewrotem w lewo pikuje na pełnym gazie ku ziemi. Wciąż trzymam się za nim i zmuszony jestem robić te same ewolucje. W pewnym momencie, gdy byłem od niego zaledwie o 30 metrów i oddałem ostatnią serię — nastąpiła eksplozja, a w chwilę potem trzech skoczaków wisiało na spadochronach. A więc już koniec. Właściwie walka była krótka.

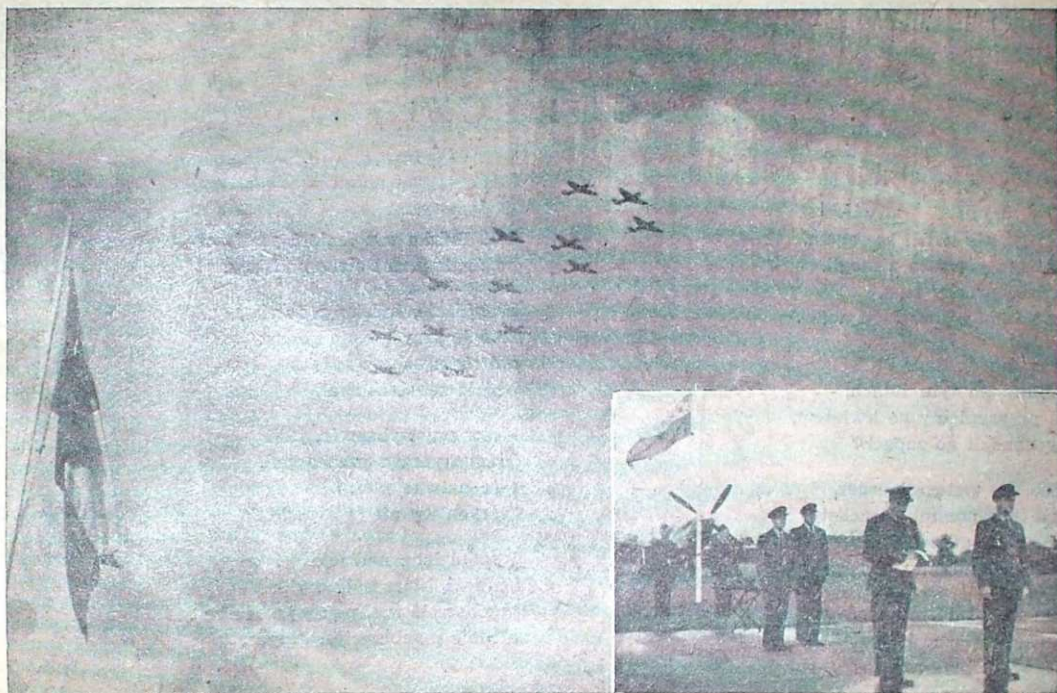
Rozglądam się dokoła i widzę obok w odległości jakichś 2 km prawdziwą kotłownicę: Messerschmidty 109, Hurricany, Spitfire'y, Messerschmidty 110. Pędzę więc w tym kierunku, za mną z boku jeszcze jakiś Hurrican. W radio tylko trzaski i od czasu do czasu nieartykułowane dźwięki. Przeleciał Hurrican z dymiącym ogonem, mignął Spitfire, za nim Messerschmidt. Daję pełny gaz i usiłuję dogonić 109-kę, na szczęście mam nieco przewagi wysokości. W górze wciąż kotłowanina. Niebo popisane smugami od pocisków. Za mną leci nasz myśliwiec. Rozpoznałem litery — Boguś! Kiwam mu skrzydłami, że jesteśmy w zasięgu walki.

Mój Messerschmidt robi skręt w lewo pod słońce. A więc idealna okazja, jestem na słońcu, przypuszczalnie nie widzi mnie. Momentalnie kładę maszynę przez plecy do lotu nurkowego, pełny gaz i piką przecinam mu drogę skracając okragą koła. Żółty dziób Niemca przemknął z boku i ciasnym zakrętem przeszedł mi na lewą stronę. Ściągam maszynę, jak mogę — czuję już pierwsze objawy zamroczenia: w oczach robi się żółto, fioletowo... Oddaję drążek⁸⁾, kolory znikają — znowu widzę 109-kę przed sobą, ale strzelać jeszcze nie można. Messerschmidt wykonuje wywrót na plecy i przechodzi do nurkowania. Czynię to samo. Kiedy wyprowadzamy maszyny — ziemia jest już blisko. Nagle Niemiec wypryska świecą w górę, podrywam maszynę za nim! Potem skręca w lewo i znowu pikuje. Wciąż siedzę mu na ogonie, ale odległość za duża (około 600 metrów), strzelać nie

mogę. Z prawej strony jakiś Spitfire obrabia 110-kę, zapewne widząc to mój przeciwnik zakręca w prawo na pomoc. Wykorzystuję ten moment, ścinam drogę, za chwilę jestem tuż za 109-ką i oddaję pierwszą serię. Widocznie zauważył, gdyż wykonał gwałtowny skręt w prawo, a ponieważ i tak zbliżałem się do niego po przekątnej, siłą rzeczy znalazłem się teraz po zewnętrznej stronie. I znowu strzelać nie mogę, ale ponownie ściągam maszynę, aż ciemno mi się zrobiło przed oczyma. Ułamek sekundy i widzę Niemca przed sobą, mam już na celowniku. Odległość 150 metrów. Oddaję

wciąż za mą ofiarą i widzę, jak coraz bardziej kopci.

Postanawiam jeszcze raz zbliżyć się do niego. Dokonuję tego, lecz tylko na ułamek sekundy, gdyż 109-ka kładzie się w głęboki wiraż w prawo i już pruje do ziemi. Goniąc stwierdzam, że brakuje mi trochę gazu. Docisnąłem więc manetkę do przodu i tak latamy od dwudziestu minut na pełnych obrotach. W końcu przy kolejnym wyprowadzaniu z piki udaje mi się zbliżyć na około 150 metrów. Momentalnie oddaję serię — tym razem skuteczną! Buchnął duży kłęb dymu, następnie wyleciała



długą serię. Messerschmidt zwała się przez plecy i szaloną piką leci w dół. Pikuję i ja. Widzę, że wskazówka szybkościomierza dochodzi już do czerwonej kreski. A więc większej szybkości nie wolno wyciskać, gdyż maszyna rozleci się w powietrzu.

Ale oto nieprzyjaciel wolno wyprowadza z piki maszynę i kieruje się w stronę Francji. Ciągle lecę za nim. W pewnej chwili dojrzałem lekką smugę dymu za ogonem Messerschmidta. Ponownie zawraca nad łąd. Podczas zakrętu zbliżam się jeszcze raz na odległość 100 metrów i strzelam. Przeciwnik znowu nagłym zwrotem ucieka mi z celownika w kierunku ziemi, znowu świecą w górę! W tym momencie, będąc tuż za nim, czuję, jak mi maszyna zawisa niemal w powietrzu, stery są bardzo miękkie⁹). Gdy Niemiec zwał się na lewe skrzydło — uczyniłem to samo, ale właściwie to już samolot prawie sam wykonał, gdyż wyciągnięty był w górę do maksimum. Wkrótce nabrałem szybkości, jestem

wyrzucona kabina. Poprawiłem jeszcze krótką serią i natychmiast ujrzałem ogień. Maszyna, jak gdyby nie była sterowana, leciała ku ziemi...

To był mój drugi zestrzał tego dnia. Przez radio słyszę głos Dzikda: „Wracamy do bazy“. Naciśkam guzik od licznika benzyny i przekonuję się, że starczy mi na jakieś 15 minut lotu czyli zaledwie na drogę powrotną. Biorę kurs 270°. Mijam balony, na horyzoncie widzę sylwetki samolotów wracających z walki.

Pode mną lotnisko. Wypuszczam podwozie i klapy, ostatni skręt, jeszcze chwila i Hurrican dotyka kołami betonu. Szybko kołuję ku barakom, lecz, niestety, łopaty śmigła zatrzymują się — benzyna wyczerpana. Podjeżdża samochód, wyskakuję z kabiny, jadę do dispersалу. Tam już niektórzy wrócili, a inni, jak Paszko, Wojtek — nie powrócą nigdy...

Witold Łokuciewski

Objaśnienia:

- ¹⁾ batman — ordynans
²⁾ fog — mgła
³⁾ hauba — kominiarka ze słuchawkami radiowymi i maską tlenową
⁴⁾ dispersal — miejsce rozlokowania się jednoski lotniczej (maszyny, transport, personel latający i ziemny).
⁵⁾ scramble — start
⁶⁾ „Mac-Westka“ — kamizelka wypełniona powietrzem, pozwalająca utrzymać się na powierzchni wody

(nazwa humorystyczna, wzięta od nazwiska amerykańskiej aktorki filmowej, szczytującej się okazałym biustem...)

⁷⁾ peleng — inaczej schody w prawo lub w lewo (w zależności od sytuacji). Peleng w prawo polega na tym, że maszyna oznaczona numerem 3 — znajdująca się po lewej stronie prowadzącego — przechodzi dołem na prawą stronę, za numer 2.

⁸⁾ oddawać drążek — odpychać drążek sterowy od siebie w celu zmniejszenia działania sił dośrodkowych
⁹⁾ stery miękkie — nie reagujące na ruchy pilota.

W. Ł.

Ryszard Liskowacki

GORYCZ

W. Machekowi —
wybitnemu znawcy spraw akowskich

Nikt go nie wróci szeregom.
Nikt nie powraca z mogił.
Tu leżą prochy tego,
co... czekał z „bronią u nogi“.

Może mu defiladę
zrobimy po tylu latach,
lub przysypimy go kwiatem,
aby obudził go zapach?

Może mu wstęgę i order,
może mu pomnik strzelisty?
Może mu zatknąć nad grobem
tysiąc sztandarów ojczystych?

Albo zawołać trębacza,
by trąbił głośno i... godnie,

że... Polska mu śmierć przebacza,
bo... zginął za Polskę podobno.

Przyjdźcie, ludzie, z daleka,
stańcie przy głowie głowa:
oto się prosi człowieka
będzie rehabilitował.

Krew mu wybaczenie, jeśli
krew wymaga przebaczeń,
i te naiwne pieśni,
których wy nie śpiewacie.

I spopielone nadzieje
i miłość, którą ból porzył,
przebaczenie mu, przyjaciele...
a mnie przebaczenie... gorycz.

CZY BĘDZIE DEFILADA?

I

Od Potockiej w dół Marii Kazimjery zaczyna się drewniana dzielnica. Zapluskwione, niskie, krzywe domki niezdiscyplinowanie wybiegały na wyboiste chodniki.

— A jednak Marymont ma coś w sobie, dla mnie nie ma ładniejszej dzielnicy w Warszawie — powiedział Adam.

Siedzieli na wygrzanych od słońca schodkach rozwalonego domu. Dzień dogasał purpurową, szeroką luną.

— Wygląda, jakby się wreszcie niebo zapaliło od tych pożarów — mruknął Zbyszek.

— Nie martw się o niebo — Adam wygrzebywał z kieszeni przelamanego na pół papierosa — Jest wiele wylężonych zmarłych na ziemi.

— Dla mnie w tej chwili największe zmartwienie to „Smigłówka“ — uśmiechnął się Zbyszek. — Masz ty pojęcie — zapalił się nagle — tych kilku Niemców nie

wytrzyma nawet naszego pierwszego szturmu. Przedziemy się im po łbach aż zadudni, a później każdy empi w garść, granaty w kieszeń, ile kto zmieści... Ileż tam musi być tych granatów.

Za darmo ich nie wydostaniemy. — Adam bawił się krótkim karabinkiem bez kolby. — Znasz ty przedpole „Smigłówki“? — zapytał nagle.

— Co tam przedpole — Zbyszek poderwał się ze schodków — zaskoczmy ich zniemacka i po zębach. — Śmiały mu się oczy i wydawał się w tej chwili jeszcze młodszy niż był.

A miał tych lat chyba ze szesnaście i prawie tyle naboju w kieszeni wypłowiałych skautowskich spodni. Nagle nachylił się do Adama: — Tak sobie myślę, wrócimy na Zolitorz i powiemy: Mamy teraz fajną broń, tą bronią przebijemy sobie drogę na Starówkę. Chciałbyś na Starówkę? — zapytał szeptem.

— Nie, nie chciałbym — także cicho odparł Adam — ale nie dlatego, że mi straszno — dodał szybko. — Przecież wiesz, że nie jestem thórzem.

— Widzisz, Irka z Żoliborza nie odejdzie. Ona nie opuści swoich rannych... Rozumiesz?

— Czego mam nie rozumieć? — uśmiechnął się Adam. — Ja nie mam swojej Irki, ale rozumiem.

Od Żoliborza zaterkotał maszynowy karabin. Suche strzały urywały się raptownie w łagodnej przedwieczornej ciszy. Słuchali w skupieniu.

— Tak jakby od Marymonckiej — zastanawiał się Adam. A gdy strzały się nie powtórzyły, powiedział podniesionym głosem: — Ty wiesz, jak mnie denerwuje taka cisza? Wydaje mi się, że całe niebo wali się na mnie. Nie mogę skupić myśli, trzęsą mi się ręce ze zdenerwowania...

— Do wszystkiego można się przyzwyczaić — uśmiechnął się Zbyszek. — Po powstaniu zaczniesz się przyzwyczajać do ciszy.

— Jeżeli mnie najpierw nie pochowasz gdzieś na Marymonckim podwórku

I na tym urwali rozmowę. Oddział szykował się do drogi. Trzeba było przenocować bliżej „Śmigłówki”, aby z pierwszym brzaskiem zaskoczyć Niemców na stanowiskach.

— Dojść do Czosnowskiej albo do Kamedulów — doradził Adam w drodze — wieczorem rozejrzeć się w terenie, a rano będzie po wszystkim.

Szli gęśiego pochyleni przy ścianach domów. Drewniaki nie doznały tu jeszcze skutku płomieni. Tylko gdzieś w dali widać było w sierpniowej zieleni świeże pogorzeliśka. Wymarłe podwórka i ulice witały ich ciepłym, wieczornym cieniem. Dopiero gdy doszli do Czosnowskiej, obskoczyło ich kilkunastu wyrostków ofiarowując swą pomoc. Kilka kroków dalej starszec w tramwajarskiej czapce wychylił się zza węgła domu.

— Dokąd to, dzieci? Przyszliście Marymont wyswo-badzać? My i tak wolne, bezpieczeństwa. Wy nas nie chcecie i Niemiec ma nas gdzieś...

— Chcemy was, dziadku, chcemy, ale cóż zrobić, jak Marymont nie nadaje się do obrony. Jak tu się bronić w tych zapluskwionych kurnikach. W wojsku nie służyliście, dziadku, i strategii nie znacie?

— Wypała się pluskiewki, wypała, moje dzieci. Nie będzie już w Warszawie pluskiewek. — Stary wyjął z kieszeni kilka papierosów i częstował. — Palcie, dla wojska najważniejszy karabin i papierosy.

W jednej chwili zapelnia się podwórce ludźmi. Adamowi jakaś kobieta wciska w garść pajdę zeschniętego chleba. Adam od tygodnia marzył o chlebie, ale przeczuwa, że kobieta odjęła sobie ten kęs od ust.

— Jedz, mamó — mówi łagodnie — ja naprawdę nie jestem głodny, myśmy zjedli dziś obiad z mięsem. O, gdybyś miała trochę wody... — Ale kobiecina jest uparta. Łapie go za rękę i odciąga na bok.

— Weź ten chleb — prosi szeptem — ja ci go nie daję za darmo, musisz mi w zamian powiedzieć, czy żyje mój syn.

— Twój syn?

— Czyśby nie znał mego syna? Kobieta jest wyraźnie zmartwiona. — Nie znasz Bogdana, mego Bogdana?

Tyle chyba ma lat, co ty, ale jest wyższy od ciebie i ma czarne włosy.

Adam stoi zakłopotany, chciałby odejść do kolegów, którzy usiadłszy w cieniu dwóch potężnych dębów rozmawiają o czymś bardzo wesołym z cywilami.

— Jakiego ma nazwisko Bogdan? — pyta niepewnie.

— Po co ci nazwisko — denerwuje się kobieta, — każdy zna mego Bogdana. To jest niedobry syn. Chciałam, żeby został lekarzem, a on poszedł walczyć. Mamó — powiedział — ja jestem już stary koń, a Warszawie przyda się każda pięść do walki. Tak mi powiedział.

Kobieta milknie na chwilę, a później łapie Adama za rękę: — Po co był wam Bogdan, czy bez Bogdana nie wygrylibyście tej swojej wojny? Dałam wam męża, a wy mi i syna. Czy wy macie prawo do synów? Tylko rodzice mają prawo do swych dzieci.

Adam prawie wyrwa się kobiecie, ale ta znów mówi spokojnym, matowym głosem: — A może i ciebie ukradli matce? może i ty...

Ale Adam nie chce słuchać, odskakuje od kobiety. Zbyszek jest w tej chwili bohaterem. Siedzi okrzakiem na połamanym stołku i opowiada o pierwszych niemieckich jeńcach, którzy budują powstańcom barykady na Żoliborzu i czyszczą oficerom buty.

Zmierzcza coraz pewniej stąpa po ziemi. Tylko od śródmięscia bije w niebo szeroka luna.

— Tam chyba nie został ani jeden człowiek — mówi mężczyzna w gimnastycznej koszulce.

— Co pan taki pesymista — denerwuje się któryś z młodych. Właśnie wróciłem wczoraj ze śródmięscia. Przyzwyczaili się ludzie do ogniska. Nawet sobie chwalią, że widno. W nocy można książki czytać.

Ale nikt się nie śmieje. Mężczyzna w gimnastycznej koszulce odchodzi powoli na bok.

II

Było ich wszystkich czterdziestu siedmiu. Nie łatwo jest nakarmić tylu młodych ludzi, ale na Marymoncie pod koniec sierpnia było się jeszcze czym dzielić.

Później Adam rozstawił posterunki i wrócił do Zbyszka na kwaterę. Zbyszek siedział na podłodze i przeglądał porozrzucone tam książki.

— Gdybym miał plecak, wziąłbym kilka, — powiedział ze smutkiem, — nie lubię, jak się książki niszcą. Zgasili świece i położywszy się na podłodze próbowały usnąć. Przez otwarte okno pchała się do pokoju świeża sierpniowa noc.

— Trudno będzie usnąć — powiedział Zbyszek — a tak chciałbym chociaż godzinę się zdrzemnąć przed jutrzejszym.

Z kąta pokoju dobiegało rymiczne, dudniące chrapanie. — To Wojtek tak chrapie, — powiedział Adam z zadróżką.

I nagle jakby ktoś biczem smagnął przez noc. Posypały się nieskładne strzały, załomotało powietrze od wybuchów granatów. Adam zerwał się.

— To daleko, Adam, połóż się — szepnął Zbyszek. — W nocy zawsze tak dobrze słyszać. Pewnie nasi CIWF atakują.

Strzelanina przygasała i znów powracała z natężoną siłą. Adam położył się koło Zbyszka. Przytulili się in-

stynktownie do siebie. Zrobiło się jakoś przyjemnie, ciepło.

— Adaś — wyszeptał Zbyszek, ja ci chciałem coś powiedzieć... Słuchasz?

Słucham — powiedział Adam i nie przestał obserwować gwiazd.

— Trochę mi głupio, ale chciałem ci powiedzieć, że z tymi jeńcami niemieckimi, to jest lipa.

— Co to znaczy lipa? — zdziwił się Adam.

— Lipa, bo widzisz ja żadnych Niemców do niewoli nie wzięłem. I o tym zdobytych karabinie to też bujda. Karabin dostałem od Wojtka trzy dni po wybuchu powstania.

Adam milczał. Zbyszek przerwał na chwilę i wsłuchiwał się znów w powracającą strzelaninę.

— Co to może być w nocy? — zapytał Adam, jakby dopiero teraz obudził się ze snu i nie słyszał słów Zbyszka.

Zbyszek nachylił się w jego stronę. — Ty wiesz, Adaś, że mnie to żaden powstaniec, zanim mnie przydzielono do waszej drużyny, nosiłem rozkazy ze Sztabu. Co to za bohaterstwo... Znało się już na pamięć każdą ulicę i każde skrzyżowanie, gdzie trzeba uważać na „gołębiarzy“. Zawsze myślałem, żeby tak czołg jakiś zdobyć. Dlatego ja się cieszę...

— Z czego? — zapytał Adam.

— No, z tego jutrzejszego wypadu. To będzie coś, o czym marzyłem.

— Nie boisz się? — zapytał Adam.

— Nie ma czego — odparł szybko Zbyszek — ja nie tak łatwo dam się zabić. Zresztą muszę wrócić do Irki — dodał z uśmiechem.

— Bać się nie ma czego — powiedział Adam — ale nie będzie jutro wesoło. Diabli wiedzą, ile tych szkopów siedzi w „Smigłowiec“. Jedni mówili mi, że dziecięciu, a drudzy że cała setka. Komu wierzyć.

— Lepiej tym pierwszym — uśmiechnął się Zbyszek. Urwała się rozmowa. Adam powrócił do swych myśli. — Jeżeli jutro wszystko pójdzie dobrze — szeptał sobie w duchu — przedrą się na Starówkę, do ojca.

Och, niechby ojciec zobaczył. Chociaż na chwilę pokazą się ojcu. A zresztą, czy to jest takie ważne?

Może ojciec nie żyje. Może i to nie jest już dziś takie ważne? Więc co u licha jest ważne? Że już blisko miesiąc zaciska bezsilnie pięści patrząc na wielką łunę pożerającą ukochane miasto? Że ze wstydem patrzył w oczy kobietom przyglądającym się w milczeniu, kiedy idą na śmierć? Że nawet zdobyty karabin go nie cieszy?

— Adaś! — Zbyszek pochyla się znów do niego — Zamknąłem oczy i wiesz, co przyszło mi do głowy? Dzień, w którym zakończy się wojna. Jeżeli będziemy jeszcze żyć, pójdziemy na defiladę, prawda? Wyobraź sobie, jak nas będą witać. Ktoś ty? Zapytają cię, a ty powiesz: — Akowiec. Albo Harcerz z Szarych Szeregów.

— A gdzie ty walczył? — Broniłem Warszawy, wpuściłem Niemców ze stolicy!

— Dzieciak jesteś — uśmiechnął się Adam. — Jutro pójdziemy z gołymi łapami na maszynowy karabin, a dziś mówisz o defiladach.

— Może i dzieciak, ale czy ty o tym nie myślisz, Adaś, ale tak szczerze powiedz, jak koleźce szkolnemu, nie myślisz?

— Sądzę, że tak — szepnął Zbyszek.

I po chwili ciszy dodał: — Adaś, zaśpiewajmy sobie. Tylko po cichu, niech się chłopaki nie zbudzą, tyle nocy nie spali. — Adaś zaczął prawie szeptem:

Agrykoli stromą drogą
spod pomnika Króla Jana
idzie wiara rozśpiewana,
śpiewa w wieczór, śpiewa z rana
o Dorocie...

III

Adam próbował podnieść głowę. Pierwsza salwa wgniotła ich w ziemię. Trudno było złapać oddech. Trzy maszynowe karabiny, ustawione na różnych piętrach fabryki śmigieł, bezlitośnie cięły brudną czarnej ziemi, w której leżeli. Adam czekał na sygnał Wojtka. Tamten ze swoimi obchodził „Smigłówkę“ dużym łukiem. Pragnął zaatakować Niemców od lasu, ściągnąć część ognia na siebie. Wtedy miał się poderwać Adam z resztą drużyny.

Wojtek pochylony nisko przy ziemi przemyka się przy Wiślanym wale. Adamowi się zdaje, że dostrzegł Zbyszka. Uśmiechnął się do siebie.

— Prędko, Wojtek, prędko — przynagla w myśli Adam. Niemiecki ogień wzmaga się bowiem z każdą minutą.

— A jednak jest ich tam do cholery — mówi głośno Adam — trudna będzie przeprawa.

I właśnie teraz od lasu załotała salwa. Załamało się powietrze od młodzieńczych głosów: Hurra!

Trzeba było wykorzystać tę chwilę, tę jedyną chwilę, podczołgać się i... naprzód! Rzeczywiście już tylko dwa maszynowe karabiny biją wzdłuż Kamedułów. Trzeci zmienił kierunek strzałów. Któryś z leżących zrywa się i z rozmachem rzuca przed siebie zdobyty wczoraj granat. Za serce łapie Adama jakiś raptowny skurcz. Podrywa się, biegnie strzelając na oślep.

Naprzód, naprzód! Dobiegają do muru, wspinając się z kocią zręcznością, kalecząc palce o kolczaste druty, ale Niemcy wzmocniają ogień.

— Strzelaj! — krzyczy Adam do Witolda. Witold ustawia w skupieniu maszynowy karabin, jedyny w oddziale zacinający się ciągle maszynowy karabin. Och, zaraz im zaśpiewa, odpowie na ten morderczy ogień.

— Prędzej — przynagla go Adam — nie widzisz, co się dzieje!

Witold przyklada się, puszcza pierwszą serię, poprawia drugą. Leci znad okien fabryki czerwony pył z cegły. I nagle: zapaliło się na ziemi słońce, przebiega myśl. Pęd powietrza rzuca Adama na ziemię. Czuje ból w nodze. Ból w całym ciele.

— Czego nie strzelasz? — krzyczy do Witolda, chociaż nie słychać teraz, czy Witold strzela czy nie i Witold nie widać. Czuj duszący w gardle, pchający się w oczy kurz, przysłonił wszystko.

— Strzelają z armat na wprost, cofamy się, Adam! Cofamy się? Adam machinalnie podnosi się z ziemi, noga boli, ale ran nie widać, pewnie stłuczenie. —

Cofamy się? A broń ze „Smigłówki”? Przecież ludzie czekają na broń. Kto się cofa? — Krzyczy na ile ty! — o pozwalają mu siły.

— Nie wyglupiaj się — odpowiada Wojtek (więc i on). — Nie wyglupiaj się, ich stąd trzeba armatami wykurzyć. Nie damy rady.

Przemykają się chyłkiem wzdłuż Kamedułów. „Smigłówka” powoli cichnie. Gonią ich jeszcze ostatnie strzały, podzwaniają po bruku spóźnione kule. Opada kurz, zaczyna doskwierać słońce.

— Gdzie Zbyszek? — pyta machinalnie Adam. Wojtek nie odpowiada. Wsuwa do „Visa” nowy magazynek i spluwa przed siebie gęstą, brudną śliną.

— Gdzie Zbyszek? — powtarza z niepokojem Adam.

— To było zaraz na początku — tłumaczy spokojnie Wojtek. — Zbyszek przeskoczył przez ten rów pod laskiem. Rzucił granat i chciał podbiec pod sam mur, aby zejść z pola obstrzału, ale nie zdążył. Został pod tym murem, a człowiekowi rozpacz gardło ścisnęła, że nawet ciała nie może zabrać.

— A może on był tylko ranny? — suchym głosem zapytał Adam.

— Nie, on dostał całą serię, podciął jak drzewo.

Więc zostało nas tylko sześciu, myślał z goryczą Adam. Więc prawie cała drużyna usnęła snem wiecznym na krańcu Warszawy, z dała od swych barykad,

od kolegów. Zaczęły mu się mieszać własne wrażenia, w wczorajszym słowami Zbyszka... Defilada, kwiaty, wolność, defilada...

Nikt nie przyjmuje defilady Zbyszka. Nikt o nim książki nie napisze. Nikt o nim nie będzie pamiętać... Wzdrygnął się. Jak to nikt? Muszą pamiętać i o nim, i o tych czterdziestu poległych pod „Smigłówką”... O nich nie mogą zapomnieć ludzie. I defilada na pewno też będzie. I będą ich witać kwiatami i uszanują zmarłych.

— Nie rozmyślaj, Adam — denerwuje się Wojtek. — Trzeba uważać, w każdej chwili możemy się natknąć na Niemców.

Na Czosnowskiej czekał na nich starzec w tramwajarskiej czapce.

— A gdzie reszta? — zapytał.

Nie odpowiedzieli, pochylili głowy.

— Głupcy, — powiedział starzec i popatrzył na nich smutno. — Głupcy, nie warto tracić życia i tak tego nikt nie oceni. — Do diabła z bohaterstwem! — I poczaplał w stronę piwnicy.

Wojtek otarł pot z czoła i powiedział: Mnie tam na tym nie zależy, jak mnie oceniają, najważniejsze, że walczymy z Niemcami i że zwycięstwo będzie nasze, no nie?

10—15 maja 1956.

Ryszard Liskowcki

Stefan Żarębski

MINIATURY

WRZESIEŃ

Szukali swoich pułków,
Pytali dobrych ludzi...
Rano dzwon na kościółku
Alarmem budził.

Aż przyszła chwila. Szarża!
Przywarli do kulbaki...
Koń nad ulanem zarżał.
Szumiały wiatraki.

DOJRZEWANIE

Bez słowa. Nie wziął nawet na ręce,
Pogładził twarzyczki, włosy.
Te wyłknięte minki dziecięce —
Roześmiał się, dorosły...

— Miłe smyki — myślał o chłopakach,
Gdy wspomnieniem wrócił do nich.
A dziś oto nagle... Nie, nie płakał.
I ojcem był zadżumionych.

Stefan Żarębski

PRZED ZJAZDEM

Eugeniusz Gołębiowski

O NOWY STYL PRACY ZWIĄZKOWEJ

W założeniach ogólnych i organizacyjnych Związku powinny nastąpić zasadnicze zmiany, praktyka bowiem wykazała, że dotychczasowa działalność Związku nie przyniosła zamierzonych rezultatów. Projekt zmian ująłbym w następujące dezyderaty:

1. Skończyć z wychowywaniem i kształceniem pisarzy i przestrzegać zasad demokracji.
2. Nastawić Związek na walkę o poprawę warunków materialnych pisarzy (wiadomo, że są złe. Przykład: napisanie powieści wymaga 2—3 lat, a honorarium za nią wynosi 20.000 do 30.000 zł).
3. Ogarniać wpływem twórczym wydawnictwa, teatr, film itp., np. przeprowadzać skuteczne interwencje, trzebić tzw. „tajne recenzje“, zainteresować się kwalifikacjami różnych „urzędników od literatury“ itp.
4. Czuwać nad doбором piór i polityką personalną wydawnictw związkowych.
5. Sekeje twórczości i koła młodych zamienić na kluby związkowe.
6. Podawać za wiadomości wszystkim członków Związku wyniki pracy stypendystów związkowych.

Eugeniusz Gołębiowski

Maria Bechczyc-Rudnicka

SZANSE MUSZĄ BYĆ ZRÓWNANE

Sądzę, że pierwszym obowiązkiem moralnym nowego zarządu Związku powinna być troska o to, by wszyscy literaci, niezależnie od miejsca zamieszkania, uzyskali równe szanse rozwoju swej twórczości. Główne zadanie władz związkowych polegałoby więc na takiej współpracy z placówkami wydającymi książki, która by skłoniła te instytucje do sumiennego zapoznawania się z nadsyłanymi utworami i do ustalenia rzetelnej kolejności ich druku.

Obok tego Związek powinien zdobyć dla prowincjonalnych czasopism literackich fundusze pozwalające na zaangażowanie odpowiedniego zespołu redakcyjnego i na wypłacanie godziwych honorariów: posiadanie bowiem dobrego czasopisma stanowi w wielkiej mierze o przekształceniu się oddziału ZLP w środowisko twórcze.

Ogólnopolskie spory przedzjazdowe toczyły się ostatnio dokoła sprawy ugrupowań pisarskich. Wydaje mi się, że próby organizowania prowincjonalnych czasopism literackich na zasadzie jednokierunkowości ideowej byłyby równoznaczne z nawrotem schematyzmu, tam gdzie środowisko artystyczne jest szczupłe i niezbyt prężne. Prowincjonalne pismo literackie musi być z natury rzeczą wolną trybuną, z tym że — również siłą rzeczy — redakcja zawsze będzie miała wpływ na przebieg dyskusji.

W mniejszych skupiskach literatów na prowincji idzie przede wszystkim o spójność grupy lokalnej, opartą na zasadzie „współistnienia“, tj. szacunku dla ucziwego polemisty.

Gdy się rozważa sprawę szans środowisk literackich, trzeba zaznaczyć z całą energią, że oddziały prowincjonalne ZLP nie powinny być nadal odcięte od światowych ognisk kultury i skazane na wiadomości z trzeciej ręki, które się wyławia z pryncypalnych periodyków literackich. Nie jest zgodne z etyką demokratyczną rezerwowanie ciekawszych wydawnictw zagranicznych dla uprzywilejowanej grupy stołecznych literatów. Należy też udostępnić literatom prowincjonalnym podróże za granicę w znacznie większej niż dotąd proporcji. Skoro mają się oni przyczynić do odnowienia życia kulturalnego prowincji, nie mogą być *glebae adscripti*.

Gruntownej rewizji wymagają także kryteria podziału stypendiów.

Walka o wolność i godność słowa, o zabezpieczenie pisarzowi właściwych warunków pracy, o równe dla niego szanse bez względu na odległość dzielącą go od siedziby władz centralnych — oto chyba istotne zadanie zarządu Związku Literatów Polskich.

Maria Bechczyc-Rudnicka

LITERATÓW

Kazimierz Andrzej Jaworski

KILKA MYŚLI PRZEDZJAZDOWYCH

Związek Literatów Polskich powinien mieć charakter związku zawodowego, mającego na celu obronę interesów zmierzonych w nim pisarzy i niesienie im pomocy w pracy, m. i. przez:

- a) pośredniczenie w pertraktacjach z wydawnictwami i popieranie swoim autorytetem utworów zasługujących na ogłoszenie ich drukiem,
- b) właściwe rozdzielanie stypendiów państwowych między ubiegających się o nie,
- c) ułatwianie kontaktów z literatami w innych krajach,
- d) sprawiedliwy podział miejsc we wszelkich wyjazdach za granicę,
- e) wydawanie w stolicy tygodnika i miesięcznika, które naprawdę byłyby organami całego Związku, a nie jednego oddziału czy pewnych grup; stworzenie ogólnozwiązkowego pisma poetyckiego, w którym zamieszczano by utwory poetów holdujących różnym kierunkom,

f) wystaranie się dla członków rzeczywistych o 50% zniżki kolejowe i prawo do emerytury dla tych, którzy przekroczyli pewien określony wiek lub stali się niezdolni do pracy wskutek choroby.

Związek Literatów Polskich składa się z poszczególnych oddziałów, które są autonomiczne: mają prawo do wydawania własnych subwencjonowanych pism i same (poprzez swoje zarządy) decydują o przyjęciu kandydatów i członków rzeczywistych. Nieprzyjęci do oddziału mogą się odwoływać w tej sprawie do Zarządu Głównego.

Poszczególne oddziały same decydują o zachowaniu w nich sekcji twórczych lub zorganizowaniu na ich miejsce dyskusyjnych klubów literackich.

Pisarze w całym kraju mogą zawiązywać odpowiednie grupy literackie wydające swoje pisma z funduszy zdobytych własnymi środkami.

K. A. Jaworski

Anna Jakubiszyn

MNIEJ SZTYWNYCH NORM

Związek Literatów Polskich miał dotychczas niejasno określone oblicze. Skład członków zdawał się świadczyć o charakterze zawodowym Związku, cele natomiast, jakie sobie stawiano, wskazywały na instytucję ideową. W rezultacie Związek nie wywiązywał się należycie z funkcji związku zawodowego, to znaczy z obrony interesów swych członków, a i sukcesy jego w dziedzinie ideologii i pedagogii (vide Koła Młodych) są jak wiadomo bardzo wątpliwe. Wydaje mi się, że obecnie Związek powinien by stać się oficjalnie organizacją przede wszystkim zawodową, przekazując inne zadania grupom twórczym. Grupy te kształtowałyby się na platformie wspólności przekonań ideowych i programów artystycznych. Ja osobiście widziałabym pięć takich grup, odpowiadających w istocie stanowi faktycznemu. Byliby to: marksiści-tradycjoniści (z grubsza rzecz biorąc dawna grupa „Kuźnicy”), marksiści — „nowocześni” spod znaku Przybosa i Sandauera, ka-

tolicy postępowi („Kierunki”), katolicy ortodoksyjni czy, jak kto woli, zachowawczy, odpowiadający grupie dawnego „Tygodnika Powszechnego”. Liczą oni w swym gronie wcale niepoślednie pióra, mają odpowiednik w nie najmniej licznej grupie społecznej, i nie widzę powodu, by uznając ich za „niebyłych”, przyodziewać ich za życia w aureolę męczenników za wiarę. Co do piątej i ostatniej grupy nazwałabym ją grupą „bezwyznaniowych eklektyków” i mam wrażenie, że jest ona w istocie liczniejsza, niż by się na pozór zdawać mogło.

W władzach Związku powinni być reprezentowani przedstawiciele wszystkich grup: warunkiem sine qua non wydaje mi się także umożliwienie poszczególnym grupom wydawania własnych czasopism (jeśli ich jeszcze nie mają), w miarę możliwości na własny ich koszt i ryzyko, z minimalnymi tylko subwencjami. Jeśli idzie o życie wewnętrzne grup, to im mniej sztywnych norm i biurokracji, tym le-

piej. O charakterze i formach działalności powinny decydować przede wszystkim warunki lokalne, zupełnie różne w różnych ośrodkach.

Pod adresem Związku jako organizacji zawodowej miałabym przede wszystkim jeden postulat: aby w miarę swych możliwości przyczynił się do uzdrowienia stosunków wydawni-

czych (przede wszystkim sprawa osławionych anonimowych recenzji wydawniczych oraz skrócenia cyklu wydawniczego) i decentralizacji ruchu wydawniczego.

Jako dewizę pracy związkowej proponuję: Piszemy książki, a nie sprawozdania!

Anna Jakubiszyn

Stefan Wolski

ZWIĘKSZYĆ WŁADZĘ ODDZIAŁÓW ZLP

Dla nas, literatów mieszkających i piszących na prowincji najbardziej istotne jest pytanie: w jakim stopniu i w jakim zakresie wpłyną na nasze losy nieuchronne zmiany strukturalne i personalne w „centrali“ Związku? Umyslnie używam terminu „centrali“, ponieważ uważam, że podstawowym problemem, który powinien rozwiązać listopadowy Zjazd jest decentralizacja.

W praktyce decentralizacja oznacza m. in. daleko idące zmiany właśnie w terenowej strukturze Związku. W dotychczasowym systemie odgórnego zarządzania władze oddziałów miały związane ręce i w poszczególnych zagadnieniach skazane były na łaskę lub niełaskę „góry“. Wiadomo przecież, że niejednokrotnie (jeśli nie najczęściej) decydowały o załatwieniu najistotniejszych spraw oddziałów osobiste stosunki w Zarządzie Głównym, a czasem... przypadek. Nie jest to dziwne, bo tak się właśnie dzieje tam, gdzie rozsiada się ciężka machina biurokratyzmu. Dlatego dzisiaj, w ogniu przedjazdowych dyskusji trzeba wyraźnie powiedzieć, że podstawowa zmiana, której oczekują literaci z terenu, to zwrócenie władzy oddziałom.

Oddziały terenowe, powinny decydować o przyjmowaniu członków i mieć władzę skreślenia ich. Czyż trzeba bowiem, ażeby o przyjęciu lub nieprzyjęciu do Związku decydowały władze centralne?

Terenowe władze związkowe powinny mieć również zagwarantowany bezpośredni wpływ na wydawnictwa i teatry. Im też należy zapewnić

możność udzielania właściwej pomocy członkom oddziałów. W zakresie zaś kształtowania środowiska pisarskiego miałyby one obowiązek tworzenia warunków sprzyjających swobodnemu rozwojowi grup, niezależnie od takich czy innych poglądów, oczywiście demokratycznych. One wreszcie powinny otrzymać ze strony Państwa pomoc dla rozwinięcia własnej działalności wydawniczej.

Rzecz prosta, terenowe oddziały muszą otrzymać budżety wynikające z realnych preliminarzy.

Oczywiście takie zmiany wymagać będą gruntownej rewizji statutu Związku, co chyba jest nieuniknione.

Niektórzy pytają: a co będzie z ideologicznym charakterem organizacji? Otóż wydaje mi się, że decentralizacja, oddanie władzy zarządom terenowym i ich wyborcom — to właśnie najprostszą i najkrótszą drogą do prawdziwie demokratycznego oblicza Związku.

Poza prasą codzienną i prasą literacką, którą powinny mieć wszystkie grupy literackie w Polsce, poza dziełem literackim, które jest naturalną trybuną pisarza, może i powinno powstać ciało skupiające seniorów i mistrzów naszej współczesnej literatury, na podobieństwo dawnej Polskiej Akademii Literatury. Związek zaś w swojej istocie powinien być sprowadzony do właściwej roli: dobrego gospodarza i rzetelnego opiekuna tych, którzy powołali go do życia.

Stefan Wolski

Wacław Gralewski

CZEGO OCZEKUJEMY OD ZJAZDU

Struktura ZLP choć, biorąc rzecz statutowo, jednolita, w praktyce rozbija się na dwa człony. Jeden to skupienie warszawskie, drugi — prowincja. Wynika to z układu liczbowego. Z ogólnej liczby siedmiuset kilkudziesięciu członków ZLP ponad czterystu mieszka i pracuje w Warszawie.

W dużej mierze do tej dysproporcji przyczyniła się centralizacja. Stolica jest uprzywilejowanym miastem — wszystko tu jest pod ręką: i najpoważniejsze pisma i instytucje wydawnicze i główne ośrodki dyspozycji. W tych warunkach Warszawa działała i działa jak magnes. Nic dziwnego, że gros związkowców osiedliło

się w niej — a oddział warszawski sam mógłby nadać kierunek każdemu walnemu zebraniu. Dlatego też każdorazowy zarząd główny czuł się jakby zarządem warszawskim, trochę przez mgłą oddalenia patrzącą na prowincję i jej sprawę. Czasami tylko przy rozbięciu wewnętrznym ośrodka centralnego ustosunkowywano się żywiej i cieplej do prowincji, licząc się z tym, że głosy delegatów prowincjonalnych mogą stać się przysłowiowym języczkiem u wagi.

Najbliższy zjazd może być dla Związku prelowy. Z wypowiedzi zamieszczanych na łamach „Nowej Kultury“ i z rozmów, jakie prowadzi środowisko literackie, wynika, że atmosfera będzie gorąca.

Prowincja bierze w nich udział tylko pośrednio, ale bacznie i czujnie obserwuje barometr przedzjazdowy. Od rezultatu batalii warszawskiej zależą również i jej losy.

Co chcielibyśmy uzyskać w wyniku zmian, jakie zjadą? Po pierwsze takie ustosunkowanie się zarządu głównego do prowincji, które gwarantowałoby realizację jej słusznych postulatów. Dotyczy to spraw wydawniczych, organizacyjnych i bytowych. Chodzi o poparcie środowisk prowincjonalnych w uzyskaniu przez nie własnych pism, instytucji wydawniczych, nastawionych przede wszystkim na wydawanie prac miejscowych, o większe niż dotąd uprawnienia

w administrowaniu własnym ośrodkiem, no i wreszcie o pomoc w zdobywaniu odpowiednich lokali organizacyjnych i mieszkalnych. Szczególniej to ostatnie zagadnienie stanowi zmurę dla większości członków.

Nie chcę mnożyć przykładów ani zbytnio zagłębiać się w sprawy trosk codziennych zarówno oddziałów, jak i ich członków. Stwierdzę tylko, że dla zapoznania się z nimi nigdy żaden z poprzednich zarządów głównych, łącznie z obecnym, nie zorganizował ankiety, nie wysłał komisji, które by zebrały odpowiedni materiał, i nie czynił żadnych starań mogących przyczynić się do usunięcia zła. Żył życiem warszawskim.

Aby temu zapobiec, częściej się muszą odbywać plenarne posiedzenia zarządu głównego, na których porządku dziennym muszą się znaleźć sprawy prowincji.

Zmiany statutu, jeśli takie nastąpią, powinny zdecentralizować Związek, uczynić oddziały bardziej autonomicznymi. Zmiany te przyczynią się w dużej mierze do stworzenia specjalnego kolorytu, który zabarwi oryginalnie również i działalność artystyczną środowisk. Szaryzna prowincji wynikała częściowo z nacisków odgórnych mających na celu ujednoczenie Związku i stworzenie z niego monolitu zwróconego obliczem tylko w jedną stronę.

Wacław Gralewski

Helena Platta

W roku bieżącym upływa 20 lat od ukazania się pierwszego zbiorku wierszy Heleny Platta („Kregi na szkle“). W związku z tą rocznicą zamieszczamy kilka wierszy obrazujących rozwój jej pracy literackiej.

Helena Platta urodziła się 19 września 1908 r. w Kiejdanach. Dzieciństwo spędziła na Ukrainie. W r. 1920 powróciła do Polski. Przez kilka lat mieszkała w Bydgoszczy, gdzie uczęszczała do szkół. Po złożeniu egzaminu dojrzałości (w Szymanowie pod Warszawą), wstąpiła na wydział humanistyczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Tam też należała do studenckiego koła literackiego „Sto“ (Stowarzyszenie Twórczości Oryginalnej). Warunki materialne, konieczność zarobkowania na utrzymanie rodziny przerwały jej studia uniwersyteckie. Od r. 1932 mieszka w Lublinie, któremu poświęciła wiele wierszy.

Bibliografia: „Kregi na szkle“ — (nakładem Związku Literatów, Lublin, 1936), „Księżycowy Lublin“ (F. Hoesick, 1938), „Legenda Trybunatu“ (Lublin, 1939), „Czerwone akordy“ (nakładem Towarzystwa Miłośników Książki, Lublin 1949), Drukowała wiersze i prozę (reportaże, artykuły, felietony) w lubelskim „Zdroju“, „Odrze“, „Kobiecie Dzisiejszej“, „Kamienie“, „Sztandarze Ludu“, „Życiu Lubelskim“ i in.

WIERSZ NAJMŁODSZY

Spostrzegłam niedawno, bo przedwczoraj wieczorem,
że wiersze moje są blade i chore;

brak im szerszego oddechu, nierówno bije rytm

[wyrazów,

Najmłodszy wiersz leżał przede mną blade i bez

[uśmiechu

usta miał spalone gorączką, spięzione i czarne,
rwał się wyobraźnią daleko, nie słuchał nakazu —
śniły mu się podróże egzotyczne i zorze polarne.

— Idę — mówił nieprzytomnie — a palmy się chwieją.
idę radosny tęczową fatą morgana — nadzieją.

Nie smuć się, wydobędziemy Feniksa spod piramid,
tylko teraz jeszcze Góry Lodowe stoją przed nami.

Przejdziemy przez kopalnie w Królewskiej Hucie na

[Śląsku

na drugą stronę ziemi — tak po prostu, bez związku.

Pozwól mi tylko tak błądzić z krańca w kraniec,
może znajdę tajemnicę panowania nad sercami.
Wtedy wezmę z gwiazd jedno pasmo błękitnego blasku
i powiążę miłością serca jak obwarzanki na jednym
[pasku.

Urządę rewolucję na księżycu, aż wybuchną umarłe
[kratery,
sam się ułożę w poemat, symfonią wygram litery
i stanę się czymś wielkim, stanę się — monumentem;
multaque pars mei vitabit terram clementem.

Najmlodszy wiersz miał gorączkę bardzo silną:
musielałam mu zrobić zimny okład i zastrzyk dożylny,
uspokoił się potem powoli, lecz we śnie majaczył:
— może jednak Feniksa w przelocie zobaczył?—

(„Kreگی na szkle“)

STARE MIASTO

Dominikanów wnęki mroczne,
szept słów żarliwych, zapach świec,
sylwetki, prawie niewidoczne
i czar, którego trzeba strzec,

bo zaraz pryśnie sypkim śniegiem,
oczy zasypie, twarz ochłodzi:
już trotuaru wraca brzegiem
kapryśny nastrój — i czarodziej.

Na Starym Mieście wieczór przedzie
pajęczynową kanwę cieni —
jakieś wspomnienia o legendzie,
która zmurzała w pustej sieni...

(„Księżycowy Lublin“, 1938 r.)

ŻEBRAK

Oślepiąco,
zbyt jasno —
pod murem łachmany i brud,
przekrwione oczy gasnąc
proszą o śmierć lub cud.

Starość w sztywnych ramionach
bezsilnie rękami drży,
a głodem życia spiętrzone
po zmarszczkach płyną łzy.

Oślepiające
słońce
wiosenny, promienny dzień —
tu pod kościołem skulony
pozostał ludzki cień.

(„Księżycowy Lublin“, 1938 r.)



DACHY LUBLINA

Nad Trynitarstką — kogut złoty.
Ku winogronom pnie się rogaty kozioł
z wieży Ratusza.

Broczą dachówki spadają czerwienią,
rynny brązowe spływają na bruk.
W błękitcie — rumianek,
wzgórze rdzawo-zielone.
Zamek.

Bije zegar na Krakowskiej Bramie,
listopadowy strąca liść.

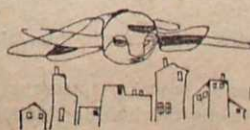
PRZED POMNIKIEM UNII LUBELSKIEJ

Strzela czarnym obeliskiem
z drzew zieleni — pomnik,
od dawna znany nam wszystkim...

Wojny, burze, wichry
przeszły nad nim i ucichły.

Jesień 1956.

Helena Platta



DEMOKRATYZACJA TO NIE SLOGAN

Jesteśmy świadkami drugiej fali krytyki i dyskusji w Polsce. Przetacza się ona przez łamy tygodników społeczno-literackich i prasy centralnej, obejmuje inteligencję twórczą większych ośrodków kraju ze stolicą na czele. Do Lublina docierają na razie tylko echa tej burzy polemicznej. Długoletni nawyk nasłuchiwanie głosu Warszawy działa samoczynnie, teren przyzwyczaił się do inspiracji. Są jednak oznaki świadczące o wzmacnianiu się tętna życia politycznego i społecznego również u nas. Wielogodzinna dyskusja ideologiczna na walnym zebraniu dziennikarzy lubelskich nie miała wprawdzie większego rezonansu, była jednak wydarzeniem o pewnym ciężarze gatunkowym nie tylko dla tego środowiska. Zaostrza się też ton krytyczny miejscowej prasy.

Jest rzeczą bezporna, że ta rozwijająca się z nową siłą dyskusja działa na rzecz socjalizmu (pomimo że, jak w każdej dyskusji, niektóre głosy mogą budzić zastrzeżenia). Trudno bowiem mówić o postępie społecznym w sposób abstrakcyjny, postęp rodzi się poprzez nieskrepowany rozwój myśli politycznej.

VII Plenum KC PZPR nakreśliło główne kierunki dla osiągnięcia dwóch zasadniczych celów decydujących o przyszłości kraju: podniesienia stopy życiowej obywateli i pełnej demokratyzacji. Nie można też wysunąć zadań gospodarczych ponad zagadnienia ideologiczne, uzyskanie odpowiednich rezultatów postępu ekonomicznego nie jest możliwe bez prawdziwej — nie tylko programowej — demokracji.

Wydaje się, że ogromne znaczenie sprawy demokratyzacji życia w Polsce nie jest jeszcze przez wszystkich należycie docenione, sądzą nawet, że proces ten w takim mieście wojewódzkim, jak Lublin, przypomina w pewnym stopniu funkcjonowanie automatów schematyzmu i oportunistów poprzedniego okresu. Do jakiej granicy może się rozwinąć demokratyzacja? — oto pytanie, które jakby zawisło w powietrzu. Od odpowiedzi na to pytanie zależy wiele, bo nie jest to tylko sprawa teorii, ale praktyki wielu ludzi.

Dla każdego, kto obserwuje życie polityczne w kraju choćby poprzez prasę, nie powinno chyba ulegać wątpliwości, że droga do demokratyzacji nie przypomina alei zakończonych. Można ją przyrównać raczej do toru przeszkód. Oczywiście, że nikt kto nie chce z góry zakładać swego bankructwa politycznego — nie wysunie jawnie hasła przeciwko demokratyzacji. W praktyce jednak działalność sporej jeszcze liczby ludzi proces ten hamuje. Zbyt głęboko zakorzeniły się w psychice wielu nawyki starych metod, dawne schematy myślenia — powoduje to kurczowe trzymanie się określonych pozycji. Jest także sporo oportunistów, których dręczy

myśl: co z tego wszystkiego wyniknie, jakie niespodzianki kryje dzień jutrzejszy? W jakim stopniu można deklorować sojusz nowym czasem? Są i tacy przeciwnicy demokratyzacji, którzy dawny porządek dostarczał argumentów przeciwko socjalizmowi, a broń tę im obecnie wytracono. Są również ludzie, których życie niczego nie nauczyło, uznali oni system stalinowski za nieodłączną cechę socjalizmu. Wszystko to składa się na ogromną złożoność problemu, który określamy jako demokratyzację życia. Jesteśmy niewątpliwie świadkami i uczestnikami starcia zwolenników i przeciwników demokratyzacji. Obecnie jeden z podstawowych obowiązków każdej grupy społecznej, środowiska i każdego obywatela polega na wyraźnym określeniu swojej postawy wobec spraw i problemów ideologicznych, politycznych.

Oczywiście jest to też pierwszym zadaniem prasy. Bez przesady można powiedzieć, że w rozwijaniu procesu demokratyzacji życia prasa odegrała w Polsce po XX Zjeździe KPZR ogromną rolę i odgrywa ją nadal (pomimo popełnianych błędów). Jest to potężny mechanizm działający na rzecz realizacji nakreślonego przez VII Plenum KC kierunku na pełną demokratyzację kraju. Trudno też zgodzić się z generalizowaniem zarzutów w stosunku do prasy a takie elementy dostrzec można w przemówieniach niektórych naszych poważnych działaczy partyjnych. Nieusprawiedliwiona jest też nieufność części aparatu partyjnego i państwowego w stosunku do śmiało wysuwanych tez i niechęć do ostrej krytyki. Na problem ten nie można patrzeć jedynie poprzez pryzmat warunków miejscowych, gdzie życie płynie nieco leniwiej, gdzie sama prasa jest jak dotąd mniej czynna ideologicznie, nie tak krytyczna jak centralna. Na naszym terenie mieliśmy zresztą także przykłady niezrozumienia roli prasy, atakowania jej przy pomocy różnych metod. Nie warto cytować tu fragmentów przemówień czy oświadczeń w tej sprawie, istotne jest, że atmosfera ta istnieje u nas również i w pewnym stopniu działa. Nasze życie, które do niedawna określano mianem prowincjonalnego, dostarcza też wiele przykładów regeneracji — rozkwitających w okresie stalinowskim — koterii i klik, pleniących się jeszcze biurokratyzmu, niezrozumienia i lekceważenia potrzeb ludzkich, konserwatyzmu, nieufnego traktowania zmian w życiu gospodarczym i społecznym. Tylko zupełna izolacja mogłaby pozwolić na niedostrzeganie tych wszystkich zjawisk.

Należy stwierdzić wyraźnie, że i u nas, jak w całym kraju, front walki o demokratyzację jest dziś głównym politycznym polem bitewnym. Czy będziemy mieli do czynienia z próbami okre-

ślenia prasy jako ośrodka myśli drobnomieszczań-
skiej i anarchistycznej, czy z próbami dyskrymi-
nacji inteligencji jako czynnika rzekomo z na-
tury rzeczy reakcyjnego, czy z wysuwaniem tez
obiektywnie działających na rzecz antysemityzmu
— wszystko to w gruncie rzeczy sprowadza się,
tak jak i dławienie krytyki, do krepowania wol-
nej myśli politycznej, a zatem do hamowania roz-
woju procesu demokratyzacji.

Okres stalinizmu przyniósł ogromne szkody
przede wszystkim w dziedzinie moralnej i wszy-
stko, co sprzyja obiektywnie renowacji dawnego
systemu myślenia i rządzenia, stanowi wielkie
niebezpieczeństwo. Mogło się wydawać początko-
wo, że wystarczy przekreślić to, co było, aby
znikły złe duchy i upiory. Doświadczenia ostat-
nich miesięcy wskazują, że przeszłość odżywa
w ludziach, w ich myślach i w konkretnym dzia-
łaniu. Analiza przeszłości musi być zatem proce-
sem długotrwałym i doprowadzonym do końca.
Dalszy wzrost zaufania do partii i do władzy lud-
dowej uwarunkowany jest takim rozrachunkiem
z przeszłością, który nie pozostawi wątpliwości,
że nie cofniemy się z nowej, słusznej drogi. Praw-
da, że wielu z nas było dawniej ślepych, ale sko-
ro teraz dostrzegamy okrutną prawdę tamtego
okresu, mamy obowiązek pełnej jego analizy.
Przekreślamy i pozostawiamy poza sobą dawne
wierzenia z pełną świadomością słuszności tego
kroku. W dziedzinie etyki i moralności społecznej,
w dziedzinie wychowania młodzieży ponieśliśmy
w czasach stalinowskich olbrzymie straty. Z ludzi
o słabszych charakterach wychowaliśmy zastępy
oportunistów, bezideowców, donosicieli, automa-
tów w myśleniu. Nadużyliśmy w tamtych cza-
sach, my obywatele, wzajemnie wobec siebie kre-
dytu zaufania. Odzyskanie tego wzajemnego zaufa-

nia jest pierwszym obowiązkiem, spełnienie tego
obowiązku — to zwycięstwo socjalizmu.

Prawda musi gościć odtąd w naszych słowach
i czynach, a myśl kształtować się nie na podstawie
inspiracji, ale w dyskusjach i polemikach ideolo-
gicznych. Nasza jednomyślność była fikcją, która
nie mogła działać na rzecz postępu, rodzi się on
w starciach różnych stanowisk. Jaw-
ność życia politycznego sprzyjać będzie rozwojowi
wolnej myśli.

Rozrachunek z przeszłością nie może się oczy-
wiście ograniczyć do zmian o charakterze perso-
nalnym, choć sądzić należy, że chyba każdego
obywatela irytuje przysłowiowa już „karuzela“
odpowiedzialnych stanowisk, widoczna nie tylko
w Warszawie, ale prosperująca i na naszym tere-
nie. Odzyskanie zaufania mas — to nie tylko sprawa
rozwiązania problemu odpowiedzialności lud-
zi za błędy poprzedniego okresu, choć, oczy-
wiście, zniknięcie z życia politycznego pewnych
osób skompromitowanych wita społeczeństwo z za-
dowoleniem. Odzyskać pełne zaufanie można prze-
de wszystkim przez całkowite odrzuce-
nie wszystkich metod okresu stali-
nowskiego i przekształcenie instytu-
cji działających na rzecz tego
systemu w instytucje pracujące na
korzyść społeczeństwa.

Być może zagadnienia poruszone w tym artyku-
le wydadzą się niektórym odległe od kręgu na-
szych zwykłych codziennych spraw, od naszych
zawodowych trudności. W rzeczywistości one
właśnie decydują o przyszłości, na równi ze sprawa-
mi gospodarczymi, na temat których powinni
wypowiadać się przede wszystkim ekonomiści.

Edmund Grzybowski

Stefan Wolski

PRACA

Praco!

która jesteś jako zdobywczyni wzlot duszy,
rodząca życie wciąż nowe
i kwiaty wzruszeń...
przed twoją nutą mędrzy schylają głowę.

Ojczyzno codzienna mózgu, mięśni i serca,
sprzymierzona z czynu istotą i progiem,
ileż w tobie prawd się utwierdza,
gdy nie jesteś odzieniem od rzadkiego święta,
gdy nie jesteś igraszką, jak skry w diamentach...

Praco!

Tobie wieczna pieśń trwania...
nieśmiertelności lira
w spełnieniach i w zadaniach.

Ty jesteś ruchu pierwiastkiem — ty: pierwotna siła.
Ciebie odnajduję w rękach niosących postęp, w najzwyklejszej cegle,
w oku architekta widzącym kształty w pustej jeszcze przestrzeni,
w kroczym metalu krojącym wciąż szybciej i bieglej,
w nocnym pejzażu koksowni, który się żarem płomieni,
w natchnieniu twórczym przeszytym ogniami tej nocy,
w smyczku dzwoniącym jak komar na bagnie,
w szynach, którymi loskot kół się stoczy,
w osi, którą tokarnia do krągłości nagnie:
wszędzie.

O tobie śpiewam i myśli
wiążę w muzyczne frazy.
Ty zbierz je razem
— w świat wyślij;
drukarzu,
żeby braciom mym było jaśniej,
niech światło, gdy gaśnie,
rozjarzą.

O, bracia!
gdziekolwiek jesteście ze swą białą lub kolorową skórą,
bez was by jej nie było, jak śpiewu bez harmonii.
Jej obraz to wy: dwa miliardy z górą,
wszłą batutą — ona, jak kształt, w którym myśl się chroni.
Wzajem zmieszanych, współzależnych, jak schody i krok:
pracę i was, bracia, jej kapitanów i uczniów,
wzywam!

Przez błędów ludzkich pogmatwany wojnami mrok,
przez ludzkie nadzieje przebite chciwością włócznią,
ujrzyjcie ją taką, jaka jest i będzie,
zrównaną z powietrzem, ze snem, ze słuchem i mową;
czytajcie prawdę z twarzy jej prostych krawędzi,
wtedy szczęście wyjdzie naprzeciw mym słowom.

Stefan Wolski

Antoni Waligóra

MIASTO Z AWANSU SPOŁECZNEGO

Wóz toczy się po pięknej asfaltowej szosie. Jeszcze nie tak dawno pełno tu było wybojów i zdradliwych dziur, a dziś szlak kraśnicki należy do najlepszych. Zbudowano go szybko i dobrze. Sielanka drogowa kończy się jednak, gdy dojeżdżamy w Niedrzwicy do punktu, w którym drogowszak pokazuje w lewo: Bychawa 16 kilometrów. Te kilkanaście kilometrów to wspomnienie dawnych złych czasów, kiedy „kocie lby“ uważane były za wyraz postępu cywilizacyjnego i osiągnięć techniki.

Wyjazd z Lublina do Bychawy, stolicy nowopowstałego powiatu... Ale zanim opiszę szczegółowo wrażenia, cofnę się do chwili, gdy uzyskałem kilka informacji w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Początkowo zaplanowałem wywiad z przewodniczącym na temat nowego podziału administracyjnego województwa lubelskiego i powsta-

nia w związku z tym kilku nowych powiatów. Plan planem, a rzeczywistość rzeczywistością. Dotarcie do przewodniczącego nie jest rzeczą łatwą. Albo nie ma go (wyjechał służbowo), albo jest na posiedzeniu prezydium, albo jest taki natłok interesantów, że dostanie się do jego gabinetu staje się prawie niemożliwością.

— Skoro nie można z przewodniczącym — pomyślałem — no to porozmawiam z którymś z jego zastępców. — Ale i to okazało się bardzo trudne z przyczyn identycznych (ważne sprawy, posiedzenia, wyjazdy służbowe). Zdecydowałem się szybko: do sekretarza! Sekretarz także był zajęty. Sekretarka sekretarza, siedząca w pokoju przylegającym do jego gabinetu, spojrzała na mnie bez wyrazu.

— Czy mogę się widzieć z sekretarzem?

- Nie ma go.
- A kiedy będzie?
- Nie wiem.
- A dokąd wyszedł?
- Nie wiem.
- A kto ma wiedzieć?
- Nie wiem!

To był dzień pierwszy.

Drugiego dnia sekretarz był, ale miał posiedzenie komisji, którego nie mógł opuścić nawet na chwilę.

Trzeciego dnia też był, ale w swoim gabinecie odbywał konferencję z kierownikami działów. Kilkakrotne głośne wybuchy śmiechu spoza drzwi dowodziły, że konferencja nie była nudna. Sekretarka spożywała jabłko i patrzyła na mnie flegmatycznie przez ramię.

Nie, nie może mnie zaanonsować, nie może zakłócać konferencji, a w ogóle może mi poradzić tylko, abym poczekał, jeśli mam na to ochotę. Miałem ochotę i poczekałem. Dopiero o 15-tej, gdy kończyło się urzędowanie, uczestnicy konferencji opuścili gabinet sekretarza, a ja dostałem się przed jego oblicze.

— Informacje o nowym podziale administracyjnym województwa? Ależ proszę — odpowiedział uprzejmie.

— Tak, mamy kilka nowych powiatów. Usprawni to administrację terenu i przybliży społeczeństwo do ośrodków władzy.

— Stało się to na wniosek WRN, którego prezydium przychyliło się do głosów ogółu ludności.

— Nowych wyborów nie przeprowadzono, tylko po prostu radnych pochodzących z tego ośrodka przydzielono do nowego PRN i uzupełniono skład przez kooptację. Poszło to szybko i sprawnie.

— Naturalnie, były pewne trudności, przede wszystkim lokalowe. Ale jakos ostatecznie uporało się z tym.

— W innych ośrodkach trudności te są tak znaczne (np. w Łęcznej), że chwilowo wstrzymano tworzenie dalszych powiatów.

— Trudności z kadrami nie było.

— Innych przeszkód też nie.

— Na ogół ludność jest zadowolona z dokonanych zmian.

Odpowiedzi te wyczerpały zakres pytań. Rozmowa trwała krótko.

Rozmyślając nad nią powiedziałem do siebie: — trzeba jechać, jak to się mówi — „w teren“ i zobaczyć życie takiego nowego powiatu. Po zastanowieniu się wybrałem Bychawę. Odległość nie duża. Dość dobry dojazd PKS-em. Wczesnym rankiem następnego dnia jechałem do obranego celu podróży. Odcinek drogi z Niedzwicy do Bychawy, jak to wspominałem na wstępie, jest kiepski. Osada leży na uboczu i żyje własnym, głęboko prowincjonalnym życiem, poważnym zdarzeniem były i są tu jarmarki i jakieś drobne miejscowe sensacje. Bychawa to właściwie jedna tylko ulica, będąca jednocześnie odcinkiem drogi przez nią przebiegającej. Stoi przy niej kilka jedno- i dwu-

piętrowych domków. Reszta to budynki parterowe. Parę bocznych uliczek niewiele się różni od drózek wśród wiejskich opołtków. Dróżki te mają nazwę i uparcie chcą być ulicami.

Naprzeciw domu, w którym usadowiła się Powiatowa Rada Narodowa, jest skwer z kilkoma alejkami spełniający tutaj rolę deptaka. Umieszczony na słupie megafon informacyjnie i artystycznie łączy Bychawę ze światem. W godzinach rannych skwer jest pusty. Po jego trawnikach i kwietnikach biegają tłuste i dobrze prezentujące się kury i kurczaki. Jest ich tutaj dużo.



Jedyny okazały dom w Białymstoku
zajęty przez nową PRN

Na principalnej ulicy dwa bary. Jeden zamknięty. Przed drugim mimo wczesnej pory trzech zagazowanych mężczyzn trzymających się z trudem na nogach. Widocznie śniadanie nie obfitowało w herbatę...

Wśród przechodniów dużo mundurów milicyjnych. Bychawa po społecznym awansie na miasto powiatowe ma także Powiatową Komendę Milicji. Na malutkiej przestrzeni „śródmieścia“ wszystko jest widoczne jak na dłoni. Z boku na wzniesieniu widać kościół. Obok przystanku autobusów — jedyny w mieście kiosk „Ruchu“. W głębi, dobrze widoczna, stoi remiza strażacka przerobiona z opustoszałej bóżnicy żydowskiej. Starą synagogę zburzyli Niemcy.

Jest piękny jesienny dzień. Od nieba, na którym nie ma najmniejszej nawet chmurki, wszystko błękitnieje. Gdybym przyjechał do Bychawy w dzień dżdżysty i deszczowy, widok nie byłby tak przyjemny, rzeczywistość wyrażałaby się wielkimi kałużami błota trudnymi do przebycia. Większość ulic nie ma nawierzchni twardej, a tylko ziemię ubitą kołami różnego typu wozów. Co prawda Bychawa poczuwszy się miastem powiatowym zaczyna myśleć o swym wyglądzie. Na dwóch ulicach widzę robotników, którzy układają ka-

mienną nawierzchnię. Widząc, że chcemy zrobić zdjęcie (przyjechałem w towarzystwie fotografika), śmieją się i starają przybrać jak najbardziej „fotogeniczne” pozy.

— A w którym piśmie ukaże się to zdjęcie? — pytają. Są młodzi, weseli i robią przyjemne wrażenie.

Po obejrzeniu ogólnej panoramy miast i po zapoznaniu się z jego topografią idę do przewodniczącego PRN, aby pomówić z nim na temat nowego powiatu i jego ogólnej sytuacji. Przewodniczącego nie zastałem. — Wyszedł służbowo — informują mnie urzędnicy — będzie za godzinę.

Zmieniam wobec tego swój plan. Postanawiam godzinę tę przeznaczyć na penetrację i nawiązanie kontaktów z tubylcami. Udaje mi się to stosunkowo łatwo. Bychawianie są wylewni i chętni do rozmowy. A więc dowiaduję się, że awansowanie Bychawy do rzędu miast powiatowych podoba im się. Zaspakają to ich ambicje środowiskowe. Ale ma również swoje złe strony. Nie wszyscy rozmówcy stawiają sprawę wyraźnie. Z powściągliwych wypowiedzi wyciągam wniosek, że Bychawa była punktem handlowym opartym na niekoncesjonowanej inicjatywie prywatnej. Robiło się różne obroty. A teraz, tak pod boki władz, urwą się różne sprawy. No ale są tacy, którzy nie handlują i na sprawy swego środowiska patrzą społecznie. Ci są zadowoleni z awansu miasteczka, wysuwają jednak inne poważne obiekcje. Bychawa nie była przygotowana do gwałtownie zaszytych zmian. Jest to mała osada, licząca niewiele więcej ponad dwa tysiące ludności. Niektóre wsie, jak np. Krzczonów, nie są od niej mniejsze. Toteż Bychawie brak odpowiedniej liczby lokali, w których mogłyby się pomieścić urzędy. Gdyby wyznaczono okres przygotowawczy i w czasie jego trwania wybudowano kilka budynków niezbędnie potrzebnych, wszystko przyjęłoby łany obrót — środowisko zyskałoby bardzo. Ale postąpiono inaczej. Nowy powiat powołano do życia na siłę. Z największego w Bychawie dwupiętrowego, dość okazałego domu usunięto instytucje i mieszkańców drogą nakazów. Mimo że Bychawa nie ma uspołecznionej gospodarki lokalowej, stworzono ad hoc Powiatową Komisję Mieszkaniową, która uwzględniła wszystkie urzędowe wnioski. Ilustracją jej działalności jest sprawa kierownika apteki, mgr. Kazimierza Garbalskiego. Zajmował on wraz z rodziną trzy pokoje w niedużym domu, który jest jego własnością. Pewnego dnia zabrano mu dwa pokoje, pozostawiając jeden. Pokoje te zabrał komendant Powiatowej Komendy Milicji, Kozłowski. Zajęcie odbyło się w drastycznych warunkach. Było to w lutym. Mgr Garbalski był chory i leżał w łóżku. Mimo to otrzymał on nakaz opróżnienia mieszkania w ciągu kilku godzin. Nie pomogły perswazje. Meble usunięto. Komendant nakazał zamurowanie drzwi, rozwalenie pieca i wybudowanie kuchni. O żadnym odwołaniu do jakiegokolwiek instancji nie było mowy. A dodać trzeba, że mgr

Garbalski jest zasłużonym pracownikiem społecznym, cenionym i poważanym przez ludność.

Innych mieszkańców Bychawy przekwaterowano w sposób łagodniejszy, ale dano im mniejsze, często wilgotne pomieszczenia. Wielu z nich nie mogło pomieścić swoich skromnych rzeczy w nowych ciasnych lokalach.

Takie posunięcia czynione trochę za gwałtownie wywołały pewną dozę rozgoryczenia. Sprawy mieszkaniowe nie są w Bychawie rzeczą łatwą.

Nowy aparat urzędniczy PRN liczy około trzytysię osób. Kierownicy działów, specjaliści od różnych dziedzin gospodarki, milicja itp. przybyli z innych środowisk, większość urzędników to — miejscowi. Ale wielu z nich mieszka poza Bychawą i do pracy dojeżdża codziennie z odległych miejscowości (Strzyżewice — 8 km, Olszowiec — 6 km, Zaraszów — 6 km itp.). Prezydium PRN obiecuje wybudowanie nowych budynków, ale nikt nie wie, kiedy to nastąpi.

Druga sprawa to aprowizacja. Bychawianie zgodnie twierdzą, że odkąd zaczęła działać Powiatowa Rada Narodowa, sytuacja żywnościowa, miast poprawi się, uległa znacznemu pogorszeniu i władze jakoś temu zaradzić nie potrafią. Jeden z większych domów zajęto na konsum dla funkcjonariuszy. Jest on dobrze zaopatrywany, ale obywatela ponoć nie mają doń wstępu. Taki zaciszny kąciak z żółtymi firankami.



Brukowanie ulic jest dowodem, że Bychawa ma ambicje miejskie

W miejscowych jadalniach niewiele jest do jedzenia. Sklep mięsny wskutek braku towaru zamknięty.

Jaśniejsza jest sprawa pieczywa. Obok dwóch uspołecznionych piekarni jest prywatna. Konkuruje one ze sobą i w wyniku Bychawa ma dobre i różnorodne pieczywo. O prawdzie tych słów przekonałem się kupując w prywatnej piekarni

bochenek pięknego razowego chleba (o który tak trudno w Lublinie) i chrupiącą białą bułeczkę.

Zbrojny w zebrane informacje idę znów do gmachu PRN. Tym razem zastaję przewodniczącego. Przyjmuje mnie w swym służbowym gabinecie, czysto i schludnie utrzymanym. Chętnie służy wyjaśnieniami. Mówi o trudnościach lokalowych. Rozwiązałoby je wybudowanie nowych po-



U podnóża charakterystycznego niegdyś domu mieści się mała prywatna piekarnia

mieszczeń dla urzędów. Roboty nawet zaczęto. Są dokumentacje, materiały i pieniądze. Ale... nie ma ludzi. W Bychawie są pracownicy budowlani, lecz pracują we wsiach. Chłopi budują. Murarz zarabia po 200 do 300 zł dziennie, nie chce więc pracować za 50—60 zł. Inni znów zaangażowani są gdzie indziej.

— Do końca bieżącego roku mieliśmy nowy budynek PRN ukończyć w stanie surowym, ale już dziś wiemy, że planu nie wykonamy. Kredyty przepadną i kryzys lokalowy pogłębi się.

Gdy pytam o sprawę zajmowania lokali, przewodniczący odpowiada, że wszystko stało się legalnie, bo orzeczenia dała Powiatowa Komisja Lokalowa.

— No ale przecież Bychawa nie ma społeczzonej gospodarki lokalowej, na jakiej więc zasadzie działa komisja? — pytam.

— A na takiej zasadzie, żeśmy ją sami powołali do życia — słyszę odpowiedź.

Z nazwiskami członków komisji nie mogę się zapoznać. Listy nie było pod ręką.

Przewodniczący sam zaczyna mówić o zagadnieniu praworządności. — Do niedawna dużo było wypadków łamania jej — mówi. — Czynili to obywatele nie oddając dostaw dla państwa. Trzeba było stosować kary. Dziś sytuacja się poprawiła i większa panuje harmonia pomiędzy władzami a ludnością.

Pytam o sąd, prokuraturę i możliwości osiedlenia się adwokatów.

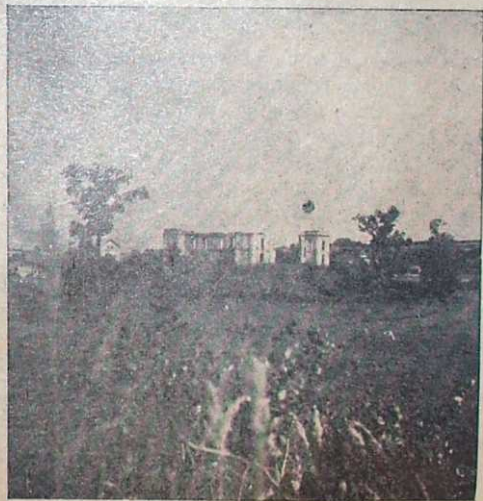
— Sąd Powiatowy będzie nie prędko w Bychawie. Nie ma odpowiedniego lokalu. Również nie ma mieszkań dla adwokatów.

— Co się tyczy prokuratury, no to czynimy wszystko, aby gdzieś ją ulokować. Obecność jej w Bychawie pomogłaby bardzo w ugruntowaniu poszanowania praworządności.

Przewodniczący ma posiedzenie prezydium. Kończymy więc rozmowę.

Wychodząc z jego gabinetu, wchodzę kolejno do wszystkich pokojów. Stolik obok stolika, urzędnik obok urzędnika. Ano cóż, brak pomieszczeń. Dowiaduję się, że np. biurko kierownika Oddziału Kultury wędruje niemal codziennie do innego pomieszczenia, dlatego codziennie zastać go można w innym pokoju.

Jako przedstawiciela pisma społeczno-literackiego zainteresowało mnie zagadnienie działalności kulturalnej w Bychawie. Niestety, dnia tego kierownika Oddziału Kultury nie ma w biurze. Pojechał do Piotrowic — informują mnie jego koledzy. Dowiaduje się od nich, że w Oddziale Kultury jest tylko jeden pracownik — właśnie kierownik, który pełni funkcje kierownicze, instruktorskie, inspekcyjne itp. Często wraca z terenu do domu w nocy, aby rankiem być już w biurze. Pod opieką Oddziału w powiecie są trzy świetlice



Ruiny starego zamku i dwa białodrzewy, resztkę wspaniałego niegdyś parku

etatowe i osiem społecznych. Po uzyskaniu tych informacji udaję się do miasta, aby bezpośrednio obejrzeć świetlicę w Bychawie i zapoznać się z jej pracą. Dowiaduję się, że świetlica mieści się w kinie na zasadzie współlokatorstwa. Niestety, odbywa się remont i obie instytucje przeniesiono poza obręb miasta. Ale uzyskuje poważne informacje o działalności świetlicy, która bynajmniej nie jest

budująca. Głównym jej programem są tzw. potańcówki z niezłe choć jednostronnie zaopatrzoną bufetem. Toteż często dochodzi do awantur.

Przyczyna tego stanu rzeczy ma charakter personalny. Kierownikiem świetlicy jest szewc ze skromnym wykształceniem ogólnym. Decydujące czynniki miejscowe postanowiły, że trzeba mu dać stanowisko kierownika świetlicy z etatowymi poborami w wysokości 700 zł, gdyż jest on... ojcem siedmiorga dzieci... Kierownik Oddziału Kultury nie miał głosu w sprawach tej nominacji.

Mam jeszcze dwie godziny czasu do odjazdu autobusu do Lublina, błędnie więc po zakamarkach bychawskich, wdając się w rozmowy z przechodniemi. Od jednego z nich dowiaduję się, że o 2 km od „śródmieścia“, na przedmieściu nazywanym się Podzamcze, są ruiny starego zamku. Udaję się we wskazanym kierunku. Na wzgórzu, które kiedyś okolone było jeziorem (śladami jego są małe stawy, błota i szuwały), wznoszą się istotnie resztki ścian i wieża zbudowana z białego kamienia. W dwóch

punktach wzgórza stoją wielkie białodrzewy mające po kilkaset lat. Okoliczni mieszkańcy niewiele wiedzą o historii zamku, tyle tylko mogą powiedzieć, że jeszcze niedawno, kilkanaście lat temu, był na wzgórzu wielki park. Rosły w nim lipy i dęby mające jakoby po pięćset lat. Ale podczas okupacji i zaraz po wyzwoleniu ludność wycięła je na opał. Nawet podobno kogoś wsadzili za to do kryminału. Pozostały tylko te dwa białodrzewy.

Wracam do miasta i usiłuję dowiedzieć się czegoś więcej o tym zabytku. Nikt jednak nic pewnego nie wie. Niektórzy twierdzą, że miejscowi czerpią z ruin materiał budowlany.

Autobus PKS przybywa punktualnie. Tłoku nie ma. Swobodnie zajmuję miejsce i z okna rzucam ostatnie spojrzenia. Widzę ludzi idących wolno. Nikt się tutaj nie śpieszy. Jest w Bychawie coś z atmosfery sprzed stu lat. Na środku jezdnii pies leniwie wygrzewa się na słońcu.

Antoni Waligóra

Adolf Lekki

SPRAWY DRAŻLIWE

„— ...A czy wy jesteście Ukraińcem?

— Ja jestem prawosławny i inni w tej wiosce też...

—... lecz jakiej jesteście narodowości? Sprawa religii — nie interesuje mnie teraz.

— Jakby to powiedzieć... Przed wojną to mówili na nas „Chachły“, a teraz to my jesteśmy tylko prawosławni“.

Taką dosłownie rozmowę przeprowadziłem kilka tygodni temu z przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej w Międzyzlesiu w powiecie białskim.

....Chłopiec uczęszcza do szkoły podstawowej w Końcu. W tym roku kończy klasę piątą. Uczy się dobrze, martwi się jednak, że nie potrafi czytać ani pisać po ukraińsku. W szkole wprawdzie odbywają się lekcje ukraińskiego, lecz...

— A mówić po ukraińsku umiesz?

— Umiju. U nas doma howorym wsie po ukraiński...

— Dlaczego więc nie chodzisz na lekcje?

— Ojciec mi nie pozwala.

Ojciec chłopca jest podejrzliwy i skąpy w słowach. Odpowiadając na moje pytanie spochmurniał, lecz ani na chwilę nie przerwał wykonywanej pracy.

— Każdy postępuje jak mu wygodnie. Mnie wystarczy, jak się dziecko po polsku będzie dobrze uczyć.

Dlaczego temu ojcu „wygodnie“, aby dziecko nie uczyło się rodzinnego języka? Dlaczego memu rozmówcy z Międzyzlesia „wygodnie“ jest nie przyznawać się do narodowości ukraińskiej?

Są to sprawy drażliwe, sprawy wielokrotnie omawiane przez ludzi po sprawdzeniu, czy drzwi są

dobrze zamknięte — tak przez Ukraińców, jak i przez Polaków. Jedni mówią szeptem zgodnie z przysłowiem: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“, drudzy — bo: „nie wiadomo, co z tego wyniknie“.

I tak trwa ta sprawa drażliwa ze szkodą dla nas, niepotrzebna nikomu, jako świadectwo naszej nieudolności politycznej, popełnionych błędów i wypaczeń.

Stosunki między ludnością polską a ukraińską układały się różnie. Historia splotła bowiem losy obydwu narodów i w jednakowym stopniu była dla nich macochą. Tatar buszujący po zielonych stepach i zaporoskich limanach pędził w „jassyr“ ukraińskie czarnobrewy i jasnowłose Polki, wszechmogący magrat nie był laskawszy dla polskiego chłopca przez to, że uciskał Ukraińca. Nic więc dziwnego, że w walkach wyzwoleniczych Ukrainy brali udział polscy chłopci, a krew Ukraińców niejednokrotnie użyźniała polską ziemię. Były wypadki, że nacjonaliści obydwu narodów dochodzili do głosu i wtedy łała się krew pobratymcza. Tak było w latach 1918—1922, tak było w czasie ostatniej wojny i w pierwszych latach powojennych. Ale wysiłek nacjonalistów szedł przeważnie na marne. W latach międzywojennych w KPP obok polskiego robotnika i chłopca, stali Ukraińcy. Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy była wiernym sprzymierzeńcem narodu polskiego walczącego o społeczne wyzwolenie. W czasie ostatniej wojny rodziny polskie niejednokrotnie znajdowały schronienie przed bandami UPA w zagrodach ukraińskich. Przeważająca większość narodu polskiego

i ukraińskiego w tych trudnych latach umiała znaleźć swoje miejsce i stanąć po właściwej stronie. Jednak byłoby błędem stwierdzać, że dyskryminacja ludności ukraińskiej w okresie dwudziestolecia i działalność nacjonalistów ukraińskich w czasie ostatniej wojny przemigły bez echa i we wzajemnych stosunkach nie uczyniły żadnej szczeliny. Wypadki te stały się podłożem popełnionych przez nas błędów, stały się przyczyną faktu, że część ludności ukraińskiej zamieszkałej u nas wynarodowiała się obecnie i — rzecz dziwna — pozornie dzieje się to z jej dobrą wolą, bez stosowania presji. Piszę „pозornie”, bo rzeczywistość jest inna.

Jak wiadomo, w latach 1945—46 bandy ukraińskich nacjonalistów wyparte przez Armię Czerwoną z terytorium Ukrainy przeniosły się na wschodnie tereny Polski. Połączone z bandami polskich faszystów (NSZ, WIN) stały się kłuską mieszkańców. Bandy te znajdowały oparcie w niektórych ośrodkach ukraińskich. Dla zlikwidowania punktów oparcia tych band władza ludowa podjęła szeroką akcję wysiedlenia ludności ukraińskiej ze wschodnich powiatów na ziemię odzyskaną. Akcja ta określona literą „W” była wstępem do szeregu dalszych krzywd wyrządzonych ludności ukraińskiej w „imie dobra mas pracujących”. W czasie rozmów przeprowadzanych z ludnością ukraińską w powiatach Biała Podlaska, Parczew i Włodawa słyszałem takie opisy wysiedleń:

„...Wczesnie rano wieś otoczyło wojsko. Ponieważ wiedzieliśmy o zamierzonym wysiedleniu, każdy z nas miał spakowane rzeczy. Zabrano nas na podwozy, załadowano do transportu i wywieziono. Dookąd — dowiadaliśmy się dopiero po przybyciu na miejsce. Wysiedlenia nie uniknęli aktywiści partyjni, byli żołnierze i partyzanci. Tych ludzi przedtem namawiano, aby wyjeżdżali dotrowelnie...”

W Międzyzlesiu:

„...Jednego dnia przybyli do wioski ludzie ubrani w mundury wojskowe. Nie wiedzieliśmy, czy to wojsko, czy Urząd Bezpieczeństwa, czy też banda. Przychodzą do domu i pytają:

— Jesteście Ukraińcem?

— Tak.

Uderzenie w twarz, jedno, drugie. A w innym domu:

— Jesteście Ukraińcem?

— Nie. Jestem Polakiem prawosławnym.

Uderzenie w twarz. Jedno, drugie... Po wysiedleniu wioski — w ciągu jednego dnia 87 rodzin chłopskich — przybyła nieznana ludzom banda. Członkowie jej podpaliłi opustoszałe zagrody, pobili kilka pozostałych rodzin i zniknęli...”

Nie było w tym czasie bezpieczne przyznawać się do ukraińskiej przynależności narodowej. Nieprzyjazny, wrogi stosunek do siebie odczuwali Ukraińcy nie tylko ze strony części osadników, tak na ziemiach zachodnich, jak i na wschodnich, lecz również od niektórych działaczy państwowych w byłych gminach i starostwach.

Bez wątpienia był to wynik działalności faszystów ukraińskich, którzy mocno dali się we znaki ludności polskiej, a równocześnie następstwo naszej nieudolności w naprawianiu stosunków polsko-ukraińskich.

Opustoszałe po wysiedleniu zagrody chłopów ukraińskich Państwo rozdysponowało częściowo między osadników, Państwowe Gospodarstwa Rolne, a częściowo pozostały one na pastwę sąsiadów.

Dzisiaj szereg krzywd wyrządzonych ludności ukraińskiej naprawiono. Już w r. 1952, po ogłoszeniu konstytucji, sporo osób powróciło na swoje dawne gospodarstwa. Dziwna rzecz, że ten ruch powrotu osób wysiedlonych, zapoczątkowany po ogłoszeniu konstytucji, trwał aż do 1955 r., bez zalegalizowania go, bez prawnego usankcjonowania. Śmiało można stwierdzić, że postawa rad narodowych w tamtym okresie, postawa bierna, pełna wyczekiwania na instrukcje, była dowodem ich słabości i braku inicjatywy w podejmowaniu odpowiednich uchwał. Dopiero w lipcu 1955 r. na podstawie wytycznych Komitetu Centralnego zalegalizowano pobyt osób, które wróciły do 30 czerwca, lecz równocześnie wydano polecenie dokonania 40 wtórnych wywiedleń. Osoby wysiedlone wótrnie oświadczyły: „Cokądkolwiek być-cie nas wywieźli, powrócimy na własne śmiecie”. I wracali uparcie, czując słusność własnej sprawy, łamiąc równocześnie przepisy, które, choć mylne, przecież istniały i obowiązywały — a z drugiej strony organa Władzy Ludowej wiedząc, że nie wszystko jest w tej sprawie w porządku, przez palce patrzyły na łamanie tych przepisów. Paradoksalna, lecz i bolesna zarazem sytuacja.

Akcja „W”, następnie przesiedlenia wótrne, szczykany w stosunku do ludności ukraińskiej wytworzyły atmosferę nieufności, milczenia, a w wielu wypadkach odżęgnywania się od swej przynależności narodowej.

Jakkolwiek okres popełnionych uprzednio błędów można liczyć dzisiaj za miniony, reperkusje tego okresu pozostały. Byłem niedawno w powiecie parczewskim. Gospodarz osadnik na polukraińskim gospodarstwie po wywiedzeniu się, ktom zaci i z czym przybyłem, zwierzył mi się wieczorem:

— Gdy tylko mrok zapadnie, stawiam dobrze raostrzoną siekiere w sieni i drzwi baryląduję. Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać po Ukraińcach, a ostatnio ecś ich dużo do nas powraca.

Zapewne było w tym nieco przesady. Wierzę, że mój rozmówca nie jest na tyle naiwny, aby nie mógł osądzić istniejącej sytuacji i siekiery nie ostrzy, lecz była w tych słowach nuta pozwalająca wysnuć wnioszek, że współżycie części ludności polskiej z ukraińską nie jest dobre. Istnieje nastrój wyczekiwania, a czasami wręcz wrogości. Od dumy narodowej do nacjonalizmu jeden krok tylko. Ten jeden krok czynią ludzie często podburzeni przez plotkę lub — celowo. I to jest w tej chwili największe rieżbezpieczeństwo, przed którym za słabo się bronimy, które za słabo atakujemy.

Do reperkusji minionego okresu należą między innymi sprawy własności gospodarstw. Ostatnio uregulowała je uchwała Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. Chodzi tylko o to, w jakim stopniu powiatowe rady narodowe zabezpieczą jej wykonanie, w jakim stopniu w trosce o praworządność będą umiały dawać skrzywdzonym zadośćuczynienie, a wahającym się pewnością, że nic im nie grozi.

A wahaających się jest dużo. Do nich należą przede wszystkim osadnicy polscy wysiedleni z terenów załubańskich i chłopci bezrolni, którzy otrzymali na własność ziemię poukraińską. Tym ludziom musimy powiedzieć prawdę. Na Zjeździe Organizacyjnym Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Warszawie w dniu 17 czerwca przedstawiciel KC PZPR i Rządu, minister Jarosiński, mówił:

„...Chce się powrócić na ziemię, na których się urodziło, na których się żyło. Jaka jest jednak sytuacja? Czy ta ziemia, na którą chcecie wrócić, jest pusta, jest ziemią niczyją? Wiemy wszyscy, że nie. Na tych ziemiach są osadnicy, są państwowe gospodarstwa rolne, są spółdzielnie produkcyjne. Zamieszkują te ziemie ludzie i zza Buga i z sąsiednich powiatów, dla których ta ziemia jest też ziemią ojczystą. Mają oni akty nadania, w dobrej wierze tam przyszli, gospodarują... I cóż im teraz powiemy? Odejdźcie stąd, bo powinni wrócić ci, którzy obecnie zamieszkują w województwie olsztyńskim, wrocławskim, zielonogórskim czy w innym. Co to będzie oznaczało dla tych ludzi? ...Czy możemy doprowadzić do tego, aby wzrosły nastroje nieprawości między Ukraińcami i Polakami?...”

Pełnego stanu posiadania z r. 1947 nie da się już przywrócić i ludność ukraińska powinna to zrozumieć. Uchwała WRN w Lublinie stwierdza, że w stosunku do osób, które uparciwie będą się domagały zwrotu gospodarstwa bądź usiłowały przemocą usunąć osadnika, należy wyciągać sankcje karno-przez skierowanie sprawy do prokuratora.

W tym zakresie rady narodowe muszą być szczególnie konsekwentne.

Obok zwalczania przejawów nacjonalizmu, z jednej, i z drugiej strony, sprawą ważną jest aktywizacja ludności ukraińskiej. Chodzi tu zarówno o kwestię nauczania języka ukraińskiego w szkołach działających na terenie, gdzie istnieją skupiska ludzi mówiących po ukraińsku, jak i o wielki ruch kulturalno-społeczny wśród tej ludności. W chwili obecnej istnieje w Lubelszczyźnie, zamieszkałej przez około 15.000 Ukraińców, tylko 7 szkół, gdzie naucza się języka ukraińskiego. Sposób i poziom tego nauczania budzi poważne zastrzeżenia. Nauka jest dobrowolna i obejmuje dzieci od 2 do 7 klasy. Uczniowie podzieleni są na dwa komplety. Komplet pierwszy — to dzieci od 2 do 4 klasy, w drugim są pozostałe. Nie trzeba być pedagogiem, aby stwierdzić, że nauczanie takie nie da dobrych rezultatów. Dziecko z klasy drugiej, które zdobyło dopiero podstawy czytania, nie może się uczyć z uczniem klasy czwartej, który tech-

nikę czytania ma opanowaną. Podział na komplety, brak podręczników szkolnych w języku ukraińskim, a równocześnie traktowanie tych lekcji tylko jako konieczności — nie zapewniają dobrych wyników. Wydaje się konieczne, aby Ministerstwo Oświaty rozpatrzyło ten problem. Lekcje języka ukraińskiego w szkołach, gdzie istnieją skupiska tej ludności, winny być włączone do programu nauczania. Wstępujący dotychczas brak podręczników dla kompletów starszych jest również niczym nie wytłumaczony.

W wielkiej pracy nad przywróceniem właściwych stosunków między ludnością polską a ukraińską Partia i rady narodowe zyskały ostatnio nowego sojusznika. Jest nim Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Wojewódzki Zarząd tego Towarzystwa powstał w Lublinie na zjeździe delegatów ludności ukraińskiej 2 września br. Statut Towarzystwa tak określa jego cele i zadania.

„...Popularyzowanie i upowszechnianie tradycji wspólnych walk polskich i ukraińskich mas pracujących. Popularyzowanie wszechstronnej wiedzy o Związku Radzieckim i USRR ...Krzewienie kultury ukraińskiej narodowej w formie, socjalistycznej w treści. Organizowanie i popieranie ukraińskiej działalności kulturalnej, naukowej i artystycznej oraz sprawowanie opieki nad zabytkami kultury ukraińskiej...”

Nowopowstałe Towarzystwo ma już poza sobą spory dorobek organizacyjny. Powołane zostały powiatowe zarządy w Parczewie, Białej i Włodawie. W październiku planuje się odbycie powiatowych zjazdów ludności ukraińskiej w Chełmie, Hrubieszowie i Tomaszowie Lubelskim oraz zorganizowanie kół w Lublinie, Kodeńcu, Horostycie, Zabłociu, Międzyzlesiu i w innych miejscowościach.

Z dobrym skutkiem Towarzystwo rozpoczęło również pracę kulturalno-oświatową. Biblioteki gromadzące wschodnich powiatów zaopatrzone zostały w literaturę ukraińską. Jest to na razie ilość niewielka — zaledwie 2.000 tomów — lecz przecież to dopiero początek. W Lublinie zorganizowano zespół chórny. Należy do niego 30 osób. Organizatorzy zespołu zapraszają na próby również ludność polską. Planuje się zorganizowanie amatorskiego (na razie) teatru ukraińskiego. Oby to zamierzenie doszło do skutku.

Zdaję sobie sprawę, że artykuł mój nie wyczerpuje w całości zagadnienia współżycia ludzi posługujących się językiem Tarasa i Adama. Jest to problem trudny, lecz jeśli omówimy go dokładnie, przestanie być drażliwy.

Adolf Lekki

Grzegorz Timofiejew

NAD RANEM

Siostrze oddziałowej Lenie Traszeuńskiej

Przez wąską szparę świtu śmierć zagłada,
Za chwilę już wykuje martwych profil.
Wskazówka na zegarze ściśle żąda,
Bym obok życia zważył własne strofy.

Wiem, że łamałem krok, błądziłem w walce,
Nie uzbroiłem klasy ni narodu,
Lecz na pościeli osłabione palce
Chcą schwytać padający promień wschodu:

O żyć!... Są słowa jeszcze nienazwane
Na moich ustach, odtajonych z nocy...
Siostra otwiera okno. W piersi ranek
Wybucha i po żyłach krwią się toczy.

Grzegorz Timofiejew

Z POEZJI ORMIAŃSKIEJ

Awetik Izahakian

* * * * *

Galące róży nie wrócisz zerwanej,
Chwilą minioną nie odetchniesz, pani.
Coś ty przeżyła — mgła to dziś i śnienie,
Miłość i ból twój — wspomnienia dziś cieniem.
Chroń serca płomień wciąż w czystości świętej,
By na pamięci życia nie osiadły męty.
Nie śpiesz... Śmierć wyjrzy, wyjrzy bez wątpienia...
Przemienie wszystko — my, sny i wspomnienia.

Brwi twoich, miła, dwa ciemne promienie,
Jak kata miecz wygięte, ponad wszystko cenię.
Wszystko na świecie — kłamstwem i próżnością,
Lecz jeśli wolno wypić usta twe z miłością,
Ich wino purpurowe —
Z rozkoszą przyjmę miecza uderzenie:
Brwi twoich, miła, dwa ciemne promienie,
Jak kata miecz wygięte, ponad wszystko cenię.

Z poezji ludowej

DLA MIŁEJ

Dla miłej trza gielieczko uszyć
Za tkan słoneczko może służyć,
Wątkiem — promienie księżycowe,
A za osnowę — chmurki płowe,
Za wzorki — jezior piana siwa,
Za sprzączki — gwiazdek drżących ćma.
A kwiatkiem jej na piersi? — Ja.

GDYBYŻ ROZPŁYNAĆ SIĘ...

Gdybyż rozplynać się, w wodę przedzierzgnąć,
Byстрым ruczajem opokę przerznąć,
Rzeką — dunajem rozlać się w dal,
Luba by przyszła napelnić dzban,
Ja bym zaszemrał prosto w jej dzban,
Z dzbanem na ramię wzniołbym się drżaco,
Jej pierś bym zraszał... pierś jej gorącą..

Przełożył Bohdan Zyranik

POZA I BOHATERSTWO

Z wypadami na „prowincję teatralną“ łączą się moje najprzyjemniejsze wspomnienia. Gdzież jak nie tam odnajdujemy prawie zawsze ów specyficzny klimat, podobny woni wywietrzanej perfumy, którego tak brak w odbudowanych niedawno salach warszawskich, klimat pewnej uroczystej „niecodzienności“, konieczny dla dopełnienia artystycznych doznań wieczoru. Ów klimat wraz ze złotym pyłem unoszącym się w smugach reflektorów przecinających ciemność zeszlowiecznych owalnych sal z wypełzłymi złoconiami — odnaleźć można albo w Lublinie, Kielcach, Cieszynie itd. albo w... Paryżu. Paradoks ten na pozór złośliwy w stosunku do teatrów naszych miast jest w istocie zrozumiały, skoro się zważy, że w Paryżu nie poniszczono teatrów i zachowały one swoje czarujące zeszlowieczne fizjonomie. Ale rzecz jasna, chodzi nie tylko o klimat, co ważne szczególnie dla krytyka

lady“, poetyckiej „Latarni“ Jiraska, a przede wszystkim nowoczesnego przedstawienia „Mazepy“. Było to najlepsze przedstawienie tej tragedii, jakie udało mi się dotąd zobaczyć, a widziałem ich już kilka.

Tym razem teatr im. Juliusza Osterwy pozwolił mi zapoznać się ze swymi dwiema ostatnimi premierami: „Uczniem diabła“ G. B. Shawa w reżyserii Józefa Wyszomirskiego i „Dramat'em księżycowym“ Romana Brandstaettera (na scenie kameralnej), opracowanym przez Aleksandra Aleksego. Dwa dramaty dwóch pisarzy oddzielonych odmienną narodowością, problematyką, widzeniem teatru, epoki itd. — a jednak udało mi się z tych spektakli wydobyć pewną wspólną myśl i naukę. Dotyczy ona zarówno problematyki utworów, jak i ich realizacji na scenie. Są to dwie niezbyt dotre sztuki — napisane przez znakomitych dramaturgów. I dlatego podczas przygotowywania ich



„Uczeń diabła“. Pani Dudgeon (Eleonora Frenkiel-Ossowska), Krzysztof (Andrzej Chmielarczyk, Ryszard (Zbigniew Woytowicz)

— to bardziej bezpośredni niż gdzie indziej kontakt z pracą teatru, z warształem reżysera i aktorów, jaki daje się nawiązać w mniejszych miastach. Pamiętam znakomite przedstawienia w prowincjonalnych teatrach, którym nie towarzyszył dotąd żaden rozgłos: świetną „Beatrice Cenci“ w Częstochowie, „Kaprysy Marianny“ Musseta w Gnieźnie czy „Tragedię optymistyczną“ w Gdyni (nie dorównało już tej prapremierze późniejsze, „oficjalne“ przedstawienie tej sztuki w Warszawie). I Lublin zajmuje obszerną kartkę w moim notatniku: nie zapomniałem doskonałej „Bal-

przed reżyserami musiało stanąć zagadnienie możliwie najdalej idącej współpracy z autorem, aby ich dzieła zbliżyć do publiczności, ukazać w możliwie najszczęśliwszej postaci, wolnej od balastu nic nie mówiących symboli, wywietrzających znaczeń, nietrwałych paraboli. Oczywiście konieczność ta nasuwała się z większą siłą w wypadku sztuki Shawa, należącej chronologicznie jeszcze do ubiegłego stulecia. Ale i dramatu Brandstaettera, powstałego w latach bieżących, nie można wystawić bez daleko idących ostrożności i troski o właściwe przyjęcie go przez pub-

liczność. Obie sztuki zawierają spory ładunek elementów dyskusyjnych, spornych, które muszą natrafić na opór reżysera. Dlatego pisząc o dwóch spektaklach w teatrze lubelskim będę miał przed oczami kwestię, w moim mniemaniu zasadniczą: jak ułożyło się w materiale konkretnym współdziałanie reżysera z autorem? Czy przedstawienie poszło po linii dyktowanej przez konieczność współczesnego widzenia teatru i problemu? Oba przedstawienia, na szczęście, nasuwają sporo refleksji.

* * *

„Uczeń diabła“ Shawa, nie należy do rzędu najlepszych „współczesnego Szekspira“, niemniej zawiera dużo materiału na dobre, interesujące przedstawienie. Jest to utwór pisarsko nierówny, ideowo i filozoficznie dość niejasny, o kwestiach dramatycznych nierównej oceny. Obok scen typowo shawowskich, znakomych, skracających się wyśmienitą wirtuozerią myślową — inne dość banalne, podszyte w dodatku jakimś nienajlepszym sentymentalizmem. Cały pierwszy akt stanowi dość nieszcześliwe wprowadzenie w istotną część sztuki, rozpoczynającej się właściwie wraz z drugim aktem. Nie bardzo rozumiem, na co Shawowi, znakomitemu majstrówi teatralnemu potrzebny był ten niezbyt wydarzony pierwszy akt. Po to, aby przedstawić nam „ucznia diabła“, Ryszarda Dudgeona, nie trzeba było pisać całego aktu — wystarczyłaby jedna celna scena — tym bardziej, że już później nie widzimy na scenie ani matki, ani całej rodziny. Od pierwszej sceny zostajemy wprowadzeni w klimat raczej bliski Gorkiemu czy naturalistom skandynawskim: potworna matka, maltretowana sierota, straszna, mieszczańska rodzinka i młody „rewolucjonista“. Matka trzyma mocno w garści cały dom, wywiera swój wpływ moralny na rodzinę — a tu tymczasem syn ladaco wydziera jej majątek i jeszcze na dodatek wygłasza płomienne „rewolucyjne“, „diaboliczne“ kazanie. Cała rodzinka bierze nogi za pas, pozostawiając „zwycięzcę“ na pustym placu. Gdy kurtyna zapada — budzi się niepokój, a może już do końca nie wyjdziemy z tego dość banalnego, rodzinnego bagienka? Na szczęście dwa dalsze akty rozwiewają te obawy: mamy jednak do czynienia z prawdziwym Shawem. Wielki dramaturg odzyskuje swój temperament filozoficzny, wysuwa pazury, pałeczki, jak zrećtnie przedstawia sytuację, odwraca rację działania swoich bohaterów, jak rozwija akcję na właściwej sobie płaszczyźnie półprzenośni, z porozumiewawczym mrugnięciem oka do publiczności! Tak jak braliśmy na serio lamentsy i klątwy pani Dudgeon w pierwszym akcie, tak ze zmużonym okiem śledzimy „proces“ Ryszarda, a potem scenę niedokonanej egzekucji. Im bliżej końca — tym więcej Shawa w tej sztuce.

Wydamy mi się, że Józef Wyszomirski bardzo trafnie, mądrze i współcześnie odczytał ten nierówny, lecz prowokujący dramat. Co prawda — trafność tej koncepcji wynika w większym stopniu z artykułu zamieszczonego w programie teatralnym niż z przedstawienia, ale o tym dalej. Czytając wypowiedź reżysera solidaryzuję się z nim całkowicie. Oczywiście, że naj-

większą wagę zachowują dla nas w tej chwili w sztuce zagadnienia moralne, problem prawdziwego i fałszywego bohaterstwa, problem fałszu, jakim ludzie żyją latami zdradzając swoje najgorętsze, wewnętrznego powołanie. Nie obchodzi nas dzisiaj „haczyki“ otyczajowe tej sztuki, która zapewne w latach swojej młodości budziła wielkie zgorznienie, nie dbamy wiele o „diaboliźm“ Ryszarda, ani o to, jak zapatruje się na jego fanaberie purykańska rodzinka. Obchodzi nas przeciwstawienie Ryszard — Pastor, a w najdalszej konsekwencji, w podtekście Ryszard — naród. I godzimy się, że w tym pojedynku wygrywa mądry Pastor, a nie fałszywy bohater, Ryszard. I że gdzieś, za sceną wygrywa naród, którego nie widzimy. Zresztą zakończenie zrobione jest naprawdę z akomicie. Ta Esterka podskakująca na pustej scenie, w takt wojskowej muzyczki, wydobywa jakiś bardzo ironiczny, gorzki równocześnie ton: szybko się zapomina i o fałszywych i o prawdziwych bohaterach, lawina wypadków dziejowych przetacza się blisko, a równocześnie tak daleko: gdy gra muzyka, ona jest „bohaterem“ momentu, a więc tańczymy!

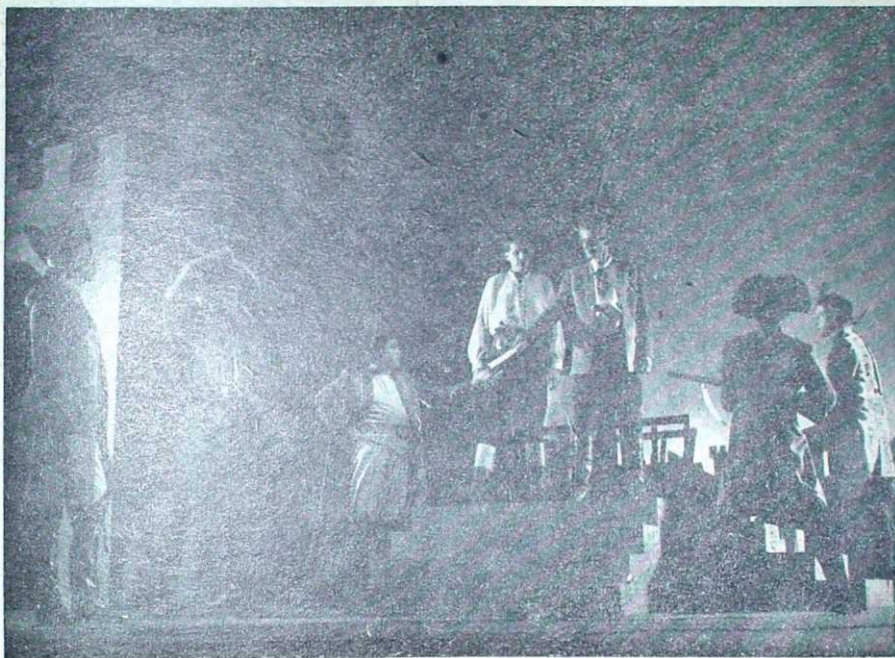
Gdzie przedstawienie odbiega od założeń reżysera? Przede wszystkim w owym nieszcześliwym pierwszym akcie. Sam w sobie jest on całocią zamkniętą, coś kiedy nie zestrojona z całością sztuki. Myślę, że można by bardziej pójść na rękę Shawowi i trochę bardziej go „odnaturalistycznić“. Może idąc dalej w kierunku groteski? W kierunku psychologii? Eleonora Ossowska stworzyła w roli pani Dudgeon postać świetną, budzącą grozę na widowni, coś kiedy to nie bardzo była postacią ze świata Shawa. Cały rysunek jej był na wskroś realistyczny, na serio, była przeniesiona z jakiegoś dramatu obyczajowego Strindberga czy Zapolskiej. Druga postać, która wyraźnie mija się z intencjami tego spektaklu — to Ryszard Dudgeon, grany przez Zbigniewa Woytowicza. W programie wyraźnie czytamy: „Jest on zapatrzony w siebie, zimny i powierzchowny. Toteż w cudzysłowie i ironicznie należy dziś — myślę — potraktować tytułową postać sztuki“.

Gdzie mamy ten cudzysłów i tę ironię? Ryszard Dudgeon jest na scenie raczej żywiołowy, bezpośredni niż ironiczny, jest raczej grany na serio. Zbigniew Woytowicz nie potrafił wydobyć w tej roli nufy pewnego fałszu, egoizm tej postaci poszedł zdecydowanie na szczyt — i to go gubi. W obsadzeniu ról dwóch zasadniczych postaci sztuki widzę pewne nieporozumienie. Zbigniew Roman w roli Pastora Andersona stworzył postać ciekawą, głęboką, widzianą z „wewnętrznego dystansu“, z odrobiną ironii chłodu — ale to on przecież powinien być „ucznieniem diabła“! Ze swoimi dyspozycjami byłby to jeden z najciekawszych Ryszardów Dudgeonów! Natomiast Zbigniew Woytowicz na pewno czułby się lepiej w roli Pastora. Przecież Shaw charakteryzuje go następująco: „Jest to mocny, zdrowy człowiek, o tegim karku i nieco przygrubych wargach, zdradzających radość życia“. Czy w mojej paradoksalnej propozycji nie ma podcenia słuszności?

Zresztą jeśli chodzi o kreacje aktorskie w tym przedstawieniu, to obok uznania dla Pastora — muszę podkreślić swój podziw dla bardzo dojrzałej, świetnie nakreślonej sylwetki generała Burgoyne, granego przez Kazimierza Iwińskiego. Była to postać charakterystyczna, bez cienia przesady — wyrazista, potraktowana ironicznie, typowo shawowska. Nie dorównywał mu Sławomir Litwiński jako major Swindon. Z innych ról podobała mi się Teresa Lassota w roli Judyty Anderson. Dużo powściągliwości, umiaru i ładnie manifestowanych uczuć. Andrzej Chmielarczyk zapowiada swoją rolę gapiowatego Krzysztofa wiele dobrego na przyszłość. Esterka (Halina Przybylska) szczególnie w ostatniej scenie robi bardzo dodatnie wrażenie. Niestety, nie jestem w stanie wyczerpać listy wszystkich występujących aktorów: pozostało mi jeszcze siedem nazwisk. Niech mi wybaczę opinie: losy.

życowy" Romana Brandstaettera. Żałowałem trochę, że nie dane mi było ujrzeć „Ludzi z martwej winnicy“, sztuki, o której słyszałem wiele pochlebnych sądów, „Dramat księżycowy“ bowiem wydaje mi się w pewnym sensie „kryzysowym“ utworem autora „Syna marnotrawnego“. Wszystkie niebezpieczeństwa dostrzeżone i wyczuwalne w poprzednich dramatach tutaj przybrały postać naprawdę niepokojącą. Największym z nich, które szczególnie grozi „Dramatowi księżycowemu“ — to bardzo pozorna współczesność tej sztuki, a wraz z nią po trosze cała poetyka dramatycznej autora.

Ciekawe, że właściwie poprzez obie sztuki, Shawa i Brandstaettera, przebiega podobny motyw problemowy: w obu rozważa się sprawę bohaterstwa, poświęcenia, wypełnienia obowiązku. Ale to, co napelnia mnie lękiem to, być może, niesłuszne przeświadczenie, że



„Uczeń diabła“. Od lewej ku prawej: Major Swindon (Sławomir Litwiński), General Burgoyne (Kazimierz Iwiński), Sierżant (Juliusz Grabowski), Ryszard (Zbigniew Woytowicz), Pastor Anderson (Zbigniew Roman)

Mogę tylko stwierdzić ogólnie, że przedstawienie było od sceny aktorskiej zupełnie poprawne. Należy do udanych pozycji teatru, a na pewno ma swoje i to dobre miejsce w rządzie polskich premier shawowskiego dramatu. Zawdzięcza to interesującej reżyserii, ogromnie asceetycznej, lecz właściwej, współczesnej scenografii Jerzego Toronczyka. Muzyka Ryszarda Schreitera wydała mi się dobrze zestrojona z całością przedstawienia.

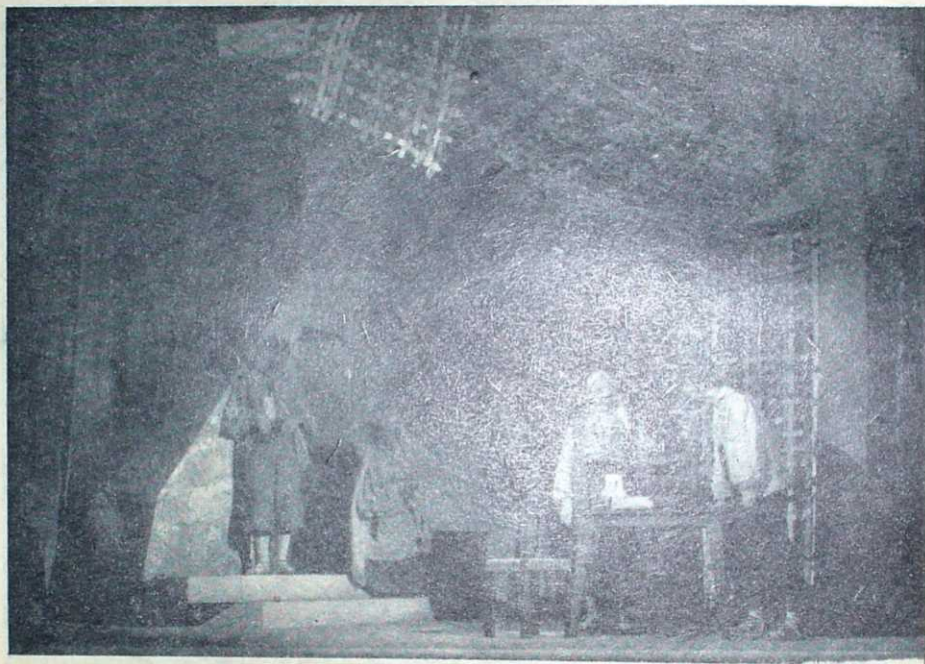
* * *

Następnego dnia po „Uczniu diabła“ miałem okazję zobaczyć piętro wyżej w ładnie odnowionej sali kameralnej teatru im. Juliusza Osterwy „Dramat księ-

w tym dwugłosie raczej ma Shaw, w sztuce powstałej w przededniu naszego stulecia, a nie polski, współczesny dramaturg. O cóż chodzi w „Dramacie księżycowym“? Odwieczny konflikt uczuć i nadrzędnych praw moralnych, obowiązku i ludzkiej słabości. Maria kocha do szaleństwa Enrico, ale Enrico jest żonaty, a poza tym jest buntownikiem, walczy przeciw tyranii króla Neapolu. Gdyby nawet chciał złamać wierność żonie, musi pozostać wierny swojej sprawie. A Enrico pragnie być wierny zarówno swojej żonie, jak i rewolucji. Lecz Maria nie rezygnuje. Mknie konno za Enrico przewożącym nocą broń dla powstańców i w rezultacie sprowadza go z powrotem do domu.

Powstańcy bez broni zostali wycięci. Ale gdyby nawet Maria nie popędziła za swym ukochanym, nie miałyby to wpływu na rezultat misji Erica, ponieważ wojsko obsadziło wszystkie przejścia. Śmiałka czekałaby pewna śmierć, a ponadto utrata broni. Lecz Enrico mimo wszystko jest winien: nie dopełnił obowiązku. Więc o to zjawiają się Spiskowcy, przedstawiciele jakiejś ślepej i głuchej sprawiedliwości dziejowej czy coś w tym rodzaju, dla nich Enrico jest tchórzem zasługującym na śmierć. „Gdybyś wypełnił obowiązek, byłbyś bohaterem. A teraz jesteś tylko zwyczajnym ścierwem“. Oto konflikt dwóch obowiązków: gdyby odjechał z Marią, zdradziłby wierność swojej żonie i zламаłby słowo dane Antoniowi, zresztą na pewno straciłoby życie oboje. Wracając — nie dopełnia wierności Sprawie. I tak źle, i tak nie dobrze.

liczu grożącej śmierci mógł ulec powabom kobiety, ale po prostu dlatego, że przejścia były obsadzone i że nonsensem byłaby utrata życia i wozu z bronią dla samego czystego dowodu odwagi i spełnienia misji. Tymczasem Brandstaetter chciał podzielić równo racje, jak w procesie nad Orestesem — i wysłała rzecz kusząca wielkimi pojęciami i słowami, lecz dziesięciemu człowiekowi nieprzydatna. Najtwardszej boli, że została zmarnowana doskonała okazja, aby głęboko, doszczętnie giętkim piórem świetnego pisarza podważyć właśnie postawę Spiskowców, ślepych wysłanników Historii. Chyba dosyć już poświęceń w imię Wyższej Idei, czystych aktów bohaterstwa, wypełniania obowiązków dziejowych bez względu na okoliczności itd. Polaków nie trzeba chyba tego uczyć. Na tym tle dramat Shawa wydaje mi się dale-



„Dramat księżycowy“. Od lewej ku prawej: Spiskowiec drugi (Stanisław Marecki), Teresa (Halina Luszczyńska), Lucia (Maria Górecka), Spiskowiec pierwszy (Aleksander Aleksy), Enrico (Piotr Kurowski)

Otóż co budzi sprzeciw — to samo zapędzenie w ślepią uliczkę bez wyjścia. Jest to manewr wysoce bezpłodny intelektualnie, a nawet poetycko. Nie warto chyba pisać sztuk po to, aby dowieść, że istnieją skrajne sytuacje, w których wybór zgodnie z sumieniem staje się niemożliwością, lub że oba wyjścia będą w jakiś sposób moralnie ujemne. Pamiętam, że wkrótce po wyzwoleniu widziałem w Teatrze Kameralnym w Warszawie sztukę, w której matka zmuszona była zastrzelić swego własnego syna — to bardzo nieludzka twórczość. Chyba więc chodzi o to, aby którejs z stron przyznać rację. Według mnie w sporze ze spiskowcami rację ma Enrico, rezygnując z daremnej przeprawy. Lecz nie dlatego, że w ob-

ko bardziej nowoczesny. Co prawda jestem o tyle nieuczciwy pisząc te słowa, że przecież autor zamierzał napisać sztukę nie tyle intelektualną, ile przede wszystkim poetycką, sztukę wielkiej metafory i zgęszczonego nastroju. Otóż poetyckość w tym dramacie jest również drugiego gatunku, jest to poezja polegająca nie tyle na przenośni myślowej, ile na upozowaniu postaci i na upoetycznianiu dialogów. Ludzie w tej sztuce mówią językiem absolutnie sztucznym, są chodzącymi „czystymi moralnymi postaciami“, paragrafami poetyki tragizmu.

Niestety, reżyser tego przedstawienia nie zrobił nic, aby dramat Brandstaettera ustawić w jakichś bardziej ludzkich wymiarach. Wręcz przeciwnie — wy-

daje mi się, że przyczynił się do wywindowania bohaterów tej sztuki na jeszcze wyższe koturny. Aleksander Aleksy — doskonały aktor, który ostatnio wyróżnił się dwiema rolami, Ojca w „Domu przy ulicy Twardej” i Wojewody w „Mazepie” — tym razem nie poszedł po linii twórczego sprzeciwu wobec tekstu. Należało — wydaje mi się — zrezygnować z tak dalece idącego upozowania, pozwolić aktorom mówić wiersz nie urywanym, natchnionym i namaszczonego głosem, lecz w sposób możliwie najnaturalniejszy, nie przedłużając nadmiernie pauz i przemilczeń, których i tak w sztuce nie brak. Zresztą Spiskowcy (Aleksander Aleksy, Stanisław Marecki) tak właśnie swoje role zrozumieli, mimo że byli głosem owej „nieludzkiej sprawiedliwości”, zachowywali się dosyć naturalnie. Reszta z większym lub mniejszym powodzeniem udawała, że gra coś najmniej tragedię Corneille'a i to w wykonaniu dla szkół. Nieznośny, fałszywy patos zgrzyta między zębami już od pierwszych słów ładnej zresztą pieśni, melo-recytowanej z emfazą przez Marię Górecką. To ona niesie w tym przedstawieniu proporzec pompy i pozy. Ani jedna kwestia nie brzmi w jej ustach prawdopodobnie. Z prawdziwym smutkiem obserwowałem, jak jej oczywisty talent popycha ją w bardzo niewłaściwym kierunku. Maria (Maria Drzewiecka) była daleko prostsza, zresztą i w tekście wypowiedziane przez nią kwestie brzmią nieco bardziej naturalnie, zbliżone mniej więcej do języka, jakim posługują się zwykli ludzie. Zresztą nie można zaprzeczyć, że Piotr Kurowski nasycił postać Enrico dużą dozą życiowego prawdopodobieństwa. Mimo że poza dzbanami na scenie i kilkoma nazwami w tekście nie w tej sztuce — ani język, ani zachowanie aktorów nie zdradza, że rzecz dzieje się we włoskiej wiosce. Enrico jednak, młody, uczciwy wieśniak, mógłby nawet w istocie pochodzić z Morite Rosso. Wydaje mi się, że jest to w ogóle rola rzetelnie przygotowana, gdybyż tylko nie poruszał się na scenie jak w zwolnionym filmie!

W ogóle jest według mnie błędem sztuczne rozciąganie krótkiej sztuki Brandstaettera do rozmiarów spektaklu mającego zapełnić cały wieczór. Pusz-

zone w normalnym tempie, z krótką przerwą — zajęłoby nie więcej niż godzinę i dwadzieścia minut. Można by znaleźć jakąś jednoaktówkę na zapełnienie reszty czasu. Tymczasem przedstawienie wlecze się niemożliwie powoli, co tymczasem nie dodaje mu „poetyckości”. Jestem zdania, że reżyser nie dopomógł autorowi i wystawił jego sztukę bardzo tradycyjnie i niemodnie, wypuklając wszystkie maniereczne niebezpieczeństwa tekstu. To, co jeszcze w lekturze wydaje się złotem — na scenie niewątpliwie okazuje się szychem. Z pozostałych wykonawców trzeba wymienić interesującą Teresę (Halinę Łuszczewską) i bardzo sztywnego Antonia (Stanisław Michalik).

Dekoracja Teresy Targońskiej ładna i pomysłowa, ale chyba troszeczkę „przefajnowana” — za mało czuje się w niej upozowanie — tu wazon, ów gdzie przewieszona mata, tam znowu inny element dekoracyjny — trochę jak w wyszukany wnętrzu Cepelli.

Widzowie obu przedstawień mogli zaopatrzyć się w bardzo gustowne, wydane ze smakiem programy teatralne, opracowane przez kierownika literackiego teatru, Marię Bechzyc-Rudnicką. Przypominają maleńkie antologie literackie i zawierają bardzo trafnie dobrane teksty.

* * *

Gdy oba widziane przeze mnie przedstawienia w teatrze im. Juliusza Osterwy w Lublinie oddaliły się na tyle, że mogę już dokonać pewnego podsumowania moich wrażeń — muszę stwierdzić, że wrażenia te są bardzo różnorodne, bogate. Od aprobaty i uznania aż do protestu. To prawda, „Dramat księżycowy” trochę mnie rozczłócił. Ale nie dlatego, że przedstawienie było tandetne, że, puszczane po linii najmniejszego oporu. Nic podobnego. Podobnych zjawisk w teatrze lubelskim nie spotykałem. Nie zaaprobowanym jedynie koncepcji reżysera, natomiast jego duży wysiłek zasługuje jedynie na szczerzy szacunek. W każdym razie stwierdzić nie trudno, że teatr lubelski jest placówka żywą i twórczą — twórczą w najgłębszym sensie tego słowa.

Konrad Eberhardt

Jeremi Królikowski

KOMENTARZ DO WYSTAWY

Wystawa „Grupy 55” w Klubie Krzywego Koła (na Starym Rynku w Warszawie), która została przeniesiona na wrzesień do lubelskiego Klubu Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych — była ewenementem niepośledniej miary. Dyskusja, jaka się tam odbyła, naświetliła znaczenie tej wystawy.

Dwudziestolecie nie stworzyło wyraźnego nowego stylu. Były tylko mocne indywidualności; do rozwinięcia się szkół malarzkich brakowało liczniejszych środowisk, oparcia w społeczeństwie, odpowiedniej atmosfery, a nieliczne i blade próby zniszczyło uderzenie maczugi wojennej 1939 r. Czasy powojenne,

odizolowanie od „Mekki sztuki”, Paryża, nieświadomość ewolucji sztuki w innych krajach, paranie się z trudnościami natury gospodarczej i innej na własnym terenie, wytworzyło zakłopotanie, nawet chaos, pogłębiony przez opory przeciwko „komenderowaniu sztuki”. Przywrócenie całkowitej swobody twórczości pozwoliło na ujawnienie się trzech ogólnych nie tyle grup, ile typów malarstwa w kraju: socrealistycznego, postimpresjonistycznego z kapłanami i kantorowców o tendencjach abstrakcyjnych we wszystkich rozgałęzieniach. Na tym właśnie tle „wybucha” „Grupa 55”, której znaczenie, chociaż docenione z miejsca,

ukaże się w pełni dopiero w perspektywie rozwoju dalszych doświadczeń i dorobku.

O co chodzi tej grupie, na czym polega sztuka tej nowej szkoły?

Marian Bogusz, jej szef duchowy, ogłosił wyraźnie spreżyzowany program, w którym zawiera się manifest hucznie brzmiący, jak zwykle w takich wypadkach, z lekką snobistycznym, z uzasadnieniem jednak nie budzącym w pierwszej chwili żadnych wątpliwości i otwierającym wielkie możliwości rozwojowe na przyszłość.



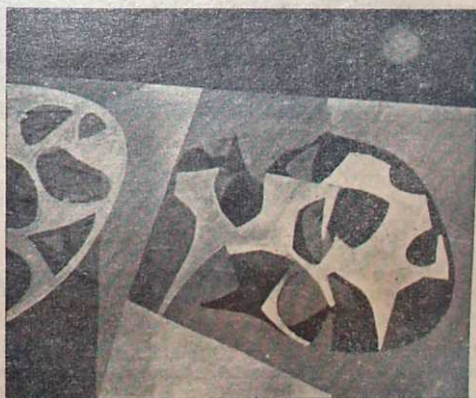
„Latająca ćma“ (olej) Marian Bogusz

A więc bur! Przeciwstawienie się estetyce postimpresjonistycznej, grupie kapistów, która miała zawazyć na wychowaniu młodego pokolenia i w ten sposób miała zataraować swoją ideologią drogi rozwojowe sztuki. Temu stanowi rzeczy ma właśnie przeciwdziałać program „Grupy 55“. Estetyka jej wywodzi się z kubizmu, przestając być kawałkiem płaszczyzny, ma być prowokacją zmuszającą widza do myślenia. Kompozycja barwna opiera się raczej na dysharmonii lub też pozornie na dysharmonii: „My w obrazie chcemy wyrażać nie zestawienia kolorystyczne, lecz treściowe“. Kolor jest materiałem dla podkreślenia czy sformułowania treści obrazu, idei i jest wykorzystany tak, jak to dyktuje sama treść, która ma być podana w obrazie. Treść radosna wyrażana jest ciepłymi kolorami, treść smutna — zimnymi. Namalowany obraz ma przemawiać mniej do uczuć estetycznych, ma przemawiać prosto do całego człowieka, „s'en prendre au ventre“ — jak wyjaśniał Picasso, a to jeszcze dlatego, że artysta wypowiada w obrazie takie współczesne treści, które nie dadzą się wyrazić w sposób konwencjonalny farbą malarzką czy nawet linią, np. skomplikowana treść bomby atomowej, jej ukryta destrukcyjna siła, jej działanie, jej skutki. W wyobraźni artyści następują specyficzne skojarzenia, które mają oddziaływać rzecz samą w sobie w sposób najbardziej syntetyczny, tylko jemu wiadomy, przede wszystkim za pomocą metafory, pomagającej wyrażać niewyraźne, uogólniające, tłumaczyć niewytłumaczalne przeżycia i wrażenia.

Artysta „Grupy 55“ ucieka od optycznego, łatwego przekazywania głębi i powagi treści, wnika natomiast w jej istotę, kondensuje przejawy życia, syntetyzuje treść bytu. Przejstaje on zwracać uwagę na estetyczne zestawienia kolorów. Oczywiście odtwórca takiej sztuki, zwykły śmiertelnik, jest twórcy najzupełniej obojętny: to, czy on odbiera treści malarskie i ideowe, czy je w ogóle rozumie, nie ma najmniejszego wpływu na artystę, na formowanie jego poglądów i na jego sztukę. Dodawszy do tego zdobycze surrealizmu, świat wiedzy technicznej i postępu w naukach — bo sztuka musi być postępowa — dalej, wpływ skojarzeń w podświadomości, dużą część teorii Freuda i otrzymanych gmach teorii Carella „Człowiek istota nieznaną“ — otrzymuje się estetykę „Grupy 55“, której próbą realizacji jest np. obraz zatytułowany „Hamlet“: artysta dążył do odworzenia w nim mgławicy czuć, odczuć, domysłów, pewności, niepewności, cęczy, gniewu, miłości i zemsty, czerepu — maski słabości ludzkich, za którą kryje się doskonała forma bytu; obraz „Wojna — sen“ — jest synteza czystej formy, według podobnej zasady pomyślany jest obraz „Noc księżycowa“.

Choć niewątpliwe są sukcesy wystawy „Grupy 55“, wydaje mi się, że jest ona tylko pierwszorzędnym eksperymentem i etapem do dalszych osiągnięć. Teorie bowiem tej grupy nie są w pełni zastosowane: „Macierzyństwo — niepokój“ — jest nawet zaprzeczeniem jej zasad: troska o ekspresję kolorystyczną ujawnia się w wielu obrazach.

Mimo dużego wkładu osobistego, program „Grupy 55“, jak zresztą zaznaczył sam Marian Bogusz, tkwi głęboko korzeniami w kultuźmie. Tak jak ojcem kapistów jest Bonnard, tak ojcem „Grupy 55“ jest nie tyle surrealista André Breton, ile Pablo Picasso: wielka część „manifestu“, „Grupy 55“ to przecież słowo w słowo to, co się mówi o sztuce Picassa i to co on sam o niej mówi: „malarstwo nie jest po to, ażeby upiększać ściany apartamentów“. Prawie każdy obraz Bogusza, Sosenewskiego i Dłubala jest przykładem tego, że natura może im służyć tylko za temat do doświadczeń malarskich. Z drugiej strony „nieufność“ do koloru doprowadza ich nawet do symboliki formy i treści: „Wojna — sen“ jest to właśnie Picasso z okresu kubizmu, przerobiony w duchu, który zasadniczo jest już obcy Picassie.



„Hamlet“ (olej) Marian Bogusz

Nie umniejsza to zasługi naszych malarzy, bo i sam Picasso otiema garściami czerpał na lewo i na prawo z doświadczeń swoich kolegów francuskich, że tylko wymienię Cézanne'a i Gauguina. Genialny Hiszpan na gruncie francuskim „pożył“ co się dalo od

zromanizowanego Holendra Van Gogha, przetrwał w sobie i tworzył sztukę własną, indywidualną, o charakterze, rzecz dziwna, hiszpańskim (co mu wytknął nawet niedawno zmarły Henri Matisse).

Zapowiedziane dalsze wystawy „Grupy 55” wskazują na to, że „bomba” artystów warszawskich jest sondowaniem własnych możliwości i że te próby obec-

ne i następne mogą przynieść oryginalne i wartościowe osiągnięcia w dziedzinie plastyki. A że sztuka ich posiada na razie charakter spekulatywny — który z artystów jest od tego wolny? — to tym lepiej, bo spontanicznym odtwarzaniem i przetwarzaniem rzeczywistości powinien kierować zimny intelekt.

Jeremi Królikowski

O OPERETCE BEZ SŁOWNIKA WYRAZÓW OBCYCH

Pisząc ostatnią recenzję o „Rose Marie” w Teatrze Muzycznym wzięłem przede wszystkim pod uwagę, że nasza operetka po kilku latach przerwy w pracy zaczyna dopiero stawiać pierwsze kroki. że scena jej za ciasna, za płytka, bez sznurowni, nie pozwala na pełną grę, że na zgranie zespołu trzeba jeszcze czasu — słowem, że w ocenie naszej operetki należy być umiarkowanym. Może się ktoś na to obruszy, ale wie-

Zacznijmy od libretta. Jest ono miłe, niektóre sytuacje dobrze pomyślane (np. te, w których księżniczka Jana i książę Paweł natrafiają na osobliwe niespodzianki). Tematyka ta oczywiście została już dawno wyzyskana w niezliczonych komediach i farsach, zwłaszcza francuskich, w sumie jednak swoje rozrywkowe zadanie spełnia, tym bardziej, że nie brak jej humoru. Osobiście jednak wolę libretto „Rose Marie”,

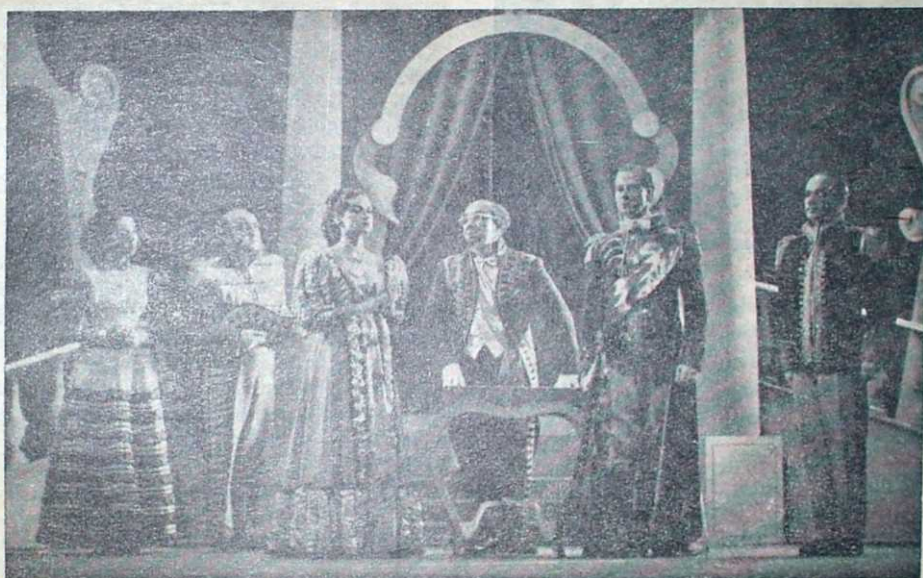


Foto Cyprian

Od lewej ku prawej: Janina Gutner, Paweł Wojtczak, Agnieszka Kossakowska, Henryk Łabuński, Jerzy Molenda, Czesław Pręgowski.

my i to, że najsurowszy prokurator liczy się z tak zwanymi okolicznościami łagodzącymi. Toteż recenzja moja o „Rose Marie” przybrała rozmiary skromne, z życzliwością wytknęłam to i owo w mniemaniu, że taki ton będzie najwłaściwszy. Potem współczułem mocno ofiarnemu zespołowi Teatru Muzycznego, gdy w recenzji L. Ludorowskiego, przeładowanej terminologią fachową i niefachową, padły ostre, w wielu wypadkach niesłuszne zarzuty pod adresem reżysera, baletmistrza, Szaroty i in. Ale nie wdając się w polemikę z Ludorowskim zajmijmy się oceną operetki „Dziewczę z Holandii” bez pomocy słownika wyrazów obcych, w języku zrozumiałym dla ogółu publiczności.

w którym jest więcej temperamentu i uroku (miłość prostych ludzi). Reżyser nadał widowisku właściwe tempo i z niezwykłą zrecznością przy udziale baletmistrza przeciskał się z baletem i chórami przez cieśniny sceny, co nie zawsze mogło się udawać. Koncepcja reżyserska całości połączyła satyrę z melodramatem. Wystąpiło to szczególnie wyraźnie w tych momentach, kiedy rozstrzygały się losy bohaterów (małżeństwo „per procura”, przygody w holenderskiej karczmie i posiedzenie rady państwa Usingen-Glücksburg). Wszyscy wykonawcy mieli trudne zadanie, a zwłaszcza w akcie drugim, gdzie na malutkiej scenie mu-

siały się zmieścić chóry, balet, karczma, plaża, przystań, wiatrak, morze i „pływające“ statki. Ale mimo tak trudnych warunków gra była na ogół dobra. Koszakowska umiała się przeistoczyć z wyniosłej, dystyngowanej księżniczki w holenderską dziewczynę, a najlepsza była w dialogach z księciem Pawłem i w ładnej scenie z dziewczętami-narzeczonymi. Śpiewa z dużą swobodą, lekko bierze górę swym metalicznym, doskonale wyrównanym sopranem. Dużo werwy wniosła na scenę Guttner, ale w niektórych sytuacjach przejawiała sylwetkę Jany — dało się to zauważyć przede wszystkim w jej dialogu uwodzicielskim w I akcie. Aktorka ta jest bardzo uzdolniona i ma wszystkie walory operetkowej bohaterki. Momenty szarży wynikają u niej z braku rutyny panowania nad sobą. Przy dobrej opiece reżyserskiej Guttnerówna szybko zdobędzie pod tym względem zawodo-



Foto: Cyprian

Od lewej ku prawej: Agnieszka Kossakowska, Henryk Labuński, Janina Guttner.

wą sprawność. Swoim wodewilowym głosem posługuje się z temperamentem. Oczywiście głos jej wymaga jeszcze szkolenia, ale już mamy zapowiedź dobrej wodewilistki.

Labuński, komik wytrwały, stworzył w roli Stoppa dwie wyraziste sylwetki: premiera i posługacza w gospodzie holenderskiej. A niedawno był policjantem kanadyjskim i marynarzem śródziemnomorskim — w typie zawsze innym.

P. Wojtczak jako marszałek dworu dobrze wyraził komiczną sztywność swego dostojęstwa.

Dużo werwy młodzieńczej i szczeroci było w grze Molendy, a śpiew jego jest coraz lepszy.

C. Pręgowski w roli Stankowicza zagrał z umiarem i nie przerysował postaci. Dzięki temu komizm snobistycznego sławończyka znalazł swój pełny wyraz. Prawdziwej męskości (którą dostrzega w tej roli Ludorowski) nie uzewnętrznił, bo w istocie jest za nos wodzony przez partnerkę. Na uwagę zasługuje to, że Pręgowski umie w swoich partiach wokalnych dobrze śpiewać i jednocześnie stwarzać arcykomiczne momenty, a to jest właśnie sztuka: być komicznym w śpiewie.

P. Leoniec i Woźnica mocno zagraли swoją chłopską scenę.

Należy stwierdzić, że zespół, składający się do niedawna z dyletantów-amatorów, zasługuje obecnie w pełni na miano zespołu aktorskiego.

W muzyce „Holenderki“ nie ma porywających motywów, ale dużo jest w niej subtelności i lirycznej miękkości. To jakby dyskretne tło do rozgrywanej się akcji.

W choreografii zauważyłem duży postęp: baletmistrze tańczą obecnie na palcach, większa też u nich precyzja ruchów, taniec klasyczny zasługuje na pochwałę, ale niestety muszą to powtórzyć, ciasnota sceny bardzo utrudnia pełne rozwinięcie sił.

Orkiestra pod dyrekcją Talarczyka i chóry przygotowane przez Kozłowskiego jak zwykle są na właściwym poziomie.

A teraz zastrzeżenia co do dekoracji. Przejście od naturalistycznej dekoracji „Rose Marie“ do próby modernizacji w „Holenderce“ nie udało się. Zestawienia kolorystyczne nie są szczęśliwe, secesyjne kształty pierwszego aktu rażą, a w całości brak twórczego tchnienia. Kostiumy nie z epoki, lecz dekoracje — umowne, u głównych postaci piękne, natomiast stroje u postaci drugoplanowych tworzą rażący kontrast in minus.

Mam zwyczaj obserwowania widowni w czasie przedstawienia. I znów zauważyłem to samo co przy „Rose Marie“. Publiczność poddała się sugestii sceny.

C

WIECZÓR AUTORSKI ZBIGNIEWA JAKUBIKA

18 września w Klubie Pracowników Kultury odbył się wieczór autorski Zbigniewa Jakubika. Mimo słabej frekwencji spotkanie upłynęło w miłej atmosferze, wywiązała się ciekawa i ożywna dyskusja.

Odcytane zostały dwa opowiadania: „Wilczyn czyli Samotność“ i „Literat na czasach“ różniące się znacznie tematyką i ujęciem. W opowiadaniu „Wilczyn czyli Samotność“, związanym z przeżyciami okresu okupacji — ujawnił się wyraźnie typ indywidualny. Ciekawe w konstrukcji opowiadanie składa się z szeregu całostek-obrazków, osnutych dookoła róż-

nych drobnych spostrzeżeń i zamykających w sobie kolejne myśli o charakterze uwag filozoficznych. Wyraźnie rysują się w utworze dwie części czy etapy prowadzące do „sedna“ ideowego. Część pierwsza o charakterze raczej impresyjnym, o wyraźnie luźnej asocjacji wspomnianych całostek jest trudniejsza w percepcji, ale przygotowuje psychikę odbiorcy na pewien rodzaj doznań, jakie przyniesie część druga. Tu kojarzenia odbywają się znacznie wyraźniej, zjawia się także rodzaj literackiej klamry i podkreślenia w postaci Kowalsky'ego. Głównym budulcem

konstruowania artystycznej wizji jest metafora obrazowa i słowna, czasem nieco nadużywana. Problemy wielkiej wagi oplata często humor realizowany zwykle za pomocą porównania, humor groteskowy, wyciskający na utworze jakieś piętno świeżości i nowości.

Tenże humor buduje całe drugie opowiadanie — groteskę pt.: „Literat na wczasach”. Popularny i oklepany motyw wspomnień wczasowych uzyskał w tej uroczej humoresce ładno ciekawą projekcję. Znaleźć tu można znowu „obrazkowość” (w dyskusji porównano budowę opowiadania ze schematem filmu „Wakacje pana Hulota”), znowu podział dwuczęściowy (druga bardziej zwarta). Efekty komiczne wygrywa autor z drobnit-

kich zdarzeń, bardzo nieraz błahych — kapitalnie je interpretując (pomysł z afiszem lub maszyną do pisania).

Tok prozy Jakubika jest na ogół wartki, język plastyczny. Konstrukcja luźna, czasami zatrzymuje się na granicy komunikatywności, chociaż nigdy jej nie przekracza. Opowiadania Jakubika mówiąc popularnie „biorą”. Jest w nich na pewno „kawałek” nowej literatury, jest poszukiwanie własnego wyrazu, jest wreszcie potwierdzenie niewątpliwego talentu i podstawa do pokładania daleko idących nadziei na przyszłość w autorze.

Zbigniew Stawecki

FABRYKA DRUKOWANEGO SŁOWA

Dawna ulica Lubartowska, dziś Stalingradzka, biegnie w kierunku północnym pod górę, szczyt swój uzyskując przy zbiegu z ulicami Obywatelską i Unicką. Idąc Obywatelską w lewo wychodzimy na drogę wśród pól, a w prawo — Unicką docieramy do wielkiego cmentarza. W dzień zaduszny tysiące świateł płonie wśród jego drzew. W okresie okupacji hitlerowcy rozstrzelali na tym cmentarzu kilkanaście tysięcy ludzi. Aleje jego oficie są zroszone krwią.

Ulica Unicka była słabo zabudowana, miała raczej charakter pustego placu. Jeżeli ktoś nie był w tej dzielnicy parę lat, zdziwi się jej obecnej przemianą. Przy ulicy tej wyrósł wielki gmach, życie zaczęło tętnić. Pogranicze miasta żywych i umarłych zyskało nową treść.

Właśnie zbliża się do nowego wielkiego budynku samochód ciężarowy. Wjeżdża w bramę. Wchodzimy za nim. Już w kilka minut potem zdajemy sobie sprawę, gdzie jesteśmy. Ogromny zakład produkujący drukowane słowo. Nowy gmach przy ulicy Unickiej to od dawna projektowana a obecnie już wybudowana wielka drukarnia, najbardziej autentyczna fabryka słowa. Czekaliśmy na nią długo. Jest ona materialnym wyrazem postępu kulturalnego w naszym mieście i w naszym regionie. Lublin był dotychczas, jeśli chodzi o drukarstwo, środowiskiem zacofanym. Przed wojną istniało w nim kilkadziesiąt drukarenek o zgoła prowincjonalnej wydajności. Były one w stanie co najwyżej drukować gazety małego formatu o maksymalnym nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy na dobę. Specjalizowały się w drobnych robotach, drukując klepsydry, ulotki, bilety wizytowe itp. O budowie dużej nowoczesnej drukarni nikt nie myślał. Dopiero teraz zrealizowane zostało to, o czym dawniej lublinianie tylko marzyli.

Miasto pięciu wyższych uczelni zdobyło nareszcie bazę, na której będzie się mógł rozwinąć szeroko zakreślony duch wydawniczy. Dzięki niej w Lublinie będzie można wydawać kilka nowoczesnych pism codziennych i periodycznych, ilustrowanych barwnie, jeśli tego zajdzie potrzeba. Może powstać poważny instytut wydawniczy, który w skali rocznej zdolny

będzie dostarczyć kilkuset ksiązek. Nareszcie nasze instytucje naukowe będą mogły na miejscu drukować swe prace. Lublin uniezależni się od innych ośrodków, gdzie był traktowany jak ubogi krewny, który często długo musiał czekać, zanim jego zamówienia zostały zrealizowane. Dzięki tej fabryce słowa staniemy się samowystarczalnii.



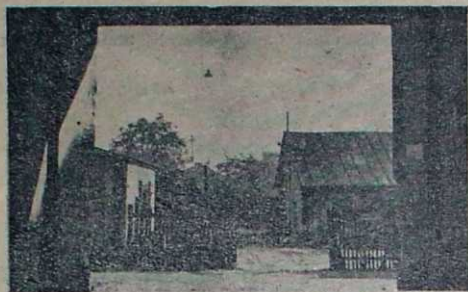
Dyrektor Lubelskiej Drukarni Prasowej
Władysław Jakubowski

Mając to wszystko na uwadze zapoznajemy z treścią tej nowej a także pożytecznej inwestycji.

Gmach drukarni ma pokaźną kubaturę, bo wyrażającą się liczbą około 40.000 m³. Budowę jego rozpoczęto w 1954 r., zakończenie planowane na r. 1957. Zawiera on hale produkcyjne i pomieszczenia dla potrzeb higienicznych, sanitarnych, socjalnych oraz technologicznych. Przestrzeń przeznaczona na produkcję wynosi 18.000 m³, reszta na cele wyżej wymienione. Naj-

większą halą produkcyjną jest introligatornia. Ma ona 650 m² powierzchni. Hala maszyn płaskich — 550 m² rotacja i hala maszyn obrotowych po 216 m². Trzy zecernie (gazetowa, mechaniczna i dzielowa) zajmują powierzchnię 360 m². Podobnie obszerne pomieszczenia służą chemigrafii, stereotypii itp.

Introligatornia ma wykonywać wszystkie typy oprav. Jest całkowicie zautomatyzowana.



Wczoraj

Jedenaste ciężkich linotypów pracować będzie na dwie zmiany.

Maszyny płaskie są w stanie wydrukować 80 tysięcy arkuszy pełnego formatu. Chemigrafia może dać dziennie 10 000 cm² klisz siatkowych i kreskowych, a jest nadzieja, że wytwarzać będzie również klisze do ilustracji barwnych. Rotacja będzie mieć wielkomięski oddech. Drukowanie gazety pełnego formatu



Wejście do dawnej hali maszyn

o nakładzie np. 40—50 tysięcy egzemplarzy stanie się dla niej drobnostką. Wreszcie w skali rocznej nowa drukarnia może rzucić na rynek około trzystu książek różnego typu. Nastawiona ona będzie na druki naukowe i kulturalne.

Dziś zatrudnia ten wielki zakład graficzny około dwustu ludzi, a pod koniec planu pięcioletniego zatrudni on prawie 500 pracowników. Dla tego dużego zespołu ludzi zaprojektowane są stołówki, kluby, świetlice, biblioteka, sala widowiskowa i boiska sportowe.

Czynne będą natryski i łaźnie. Zecer lubelski nareszcie uzyska naprawdę higieniczne i kulturalne warunki pracy.

Gdy mowa o budynku i urządzeniach, to logicznie nasuwa się konieczność poświęcenia kilku słów ludziom, którzy wysiłkami swoimi zrealizowali to wielkie dzieło. Przede wszystkim wymienić tu trzeba dyr. Jakubowskiego, który z ramienia Centralnego Urzędu



Dziś

Wydawnictw rozpoczął w Lublinie budowę nowego drukarskiego przybytku. Jego doświadczeniu i energii zawdzięcza Lublin, że projekt został zrealizowany.

Głównym projektantem gmachu był znany w naszym mieście inż. architekt Tadeusz Witkowski. Obliczenia statystyczne wykonał inż. Zamorowski. Pod kierownictwem inż. Janusza Kwiatkowskiego wykonano urządzenia wentylacyjne i klimatyzacyjne.



Obecna hala maszyn

Gdyby w tym ponętnym obrazie trzeba było znaleźć jakieś przysłowiowe ale, to chyba będą nim trochę przestarzałe typy maszyn, w jakie Centralny Zarząd zaopatrzył drukarnię lubelską. Mieliśmy nadzieję, że w nowym budynku staną nowe maszyny — ostatni wyraz techniki. Jest jednak inaczej. No cóż, na początek dobre i to. Trzeba mieć nadzieję, że przyjdzie czas i na nowe maszyny i urządzenia.

(w)

PODSUMOWANIE

— Teraz ja was podsumuję, lobuzy! — mówi młody, chudy człowiek. Mruży jedno oko i rozczapierzonymi palcami prawej ręki podkreśla każde mocniejsze słowo. Sylwetka jakby stworzona do trybuny.

„Podsumowanie” wypadło dobitnie. Dom Kultury WSK w Świdniku z konieczności stał się zupełnie samodzielny. Z konieczności, bo dyrekcja zakładu zupełnie nim się nie zajmuje. Dyrektor naczelny bywa w Domu Kultury przy okazji 1 Maja, 22 Lipca, rocznicy Rewolucji Październikowej i na tym koniec. W zarządzie Domu Kultury przedstawiciela dyrekcji właściwie nie ma, bo ten, którego po długich targach wyznaczono, tak jest zawałony pracą zawodową, że dla spraw kultury nie może znaleźć ani chwili. Rada zakładowa uroczyście potakuje dyrekcji, której sprawy kultury są całkowicie obojętne, a przybudówki do Domu Kultury, która miała być wykończona rok temu, jak nie było dotąd, tak w dalszym ciągu nie ma. Nie można też doprosić się o remont baraku, w którym mogłyby ćwiczyć zespoły artystyczne i zbierać się koła zainteresowań. Widocznie zakłady świdnickie, zatrudniające kilkanaście tysięcy pracowników nie mogą się zdobyć na drobne inwestycje.

— Tak, towarzyszek, sami pchamy tę taczkę od kultury. A to naprawdę nie lekko idzie.

Rzeczywiście, jeżeli pomyśleć na to, co już zrobione, to trzeba przyznać, że w stosunku do możliwości — sporo, mało jednak w stosunku do potrzeb.

Przy Domu Kultury w Świdniku działają zespoły artystyczne. Niektóre z nich, jak na przykład mały żeński wokalny, jak teatralny, taneczny i orkiestra dęta, mają już za sobą pokaźny dorobek w postaci imprez organizowanych na terenie własnym oraz wyjazdów do okolicznych wiosek, spółdzielni produkcyjnych, PGR oraz udział w festynach, zabawach ludowych itp. Zespół teatralny ma poza sobą bohaterski wyjazd do Poniatowej, skąd w czasie zamieci śnieżnej jechano 48 godzin. Makabryczna jazda dała się wszystkim we znaki, nie obyło się bez przeziębień i odmrożeń. Dziś jednak wspomina się ją z pewnego rodzaju przyjemnością, jak uciążliwą, ale dającą pewne zadowolenie wycieczkę.

Dobrze rozwija się istniejące od niedawna Ognisko Muzyczne. Liczba jego uczestników w ciągu jednego roku skoczyła z 62 na 140. 60% to dzieci w wieku szkolnym, reszta — młodzież i dorośli. W Ognisku czynne są klasy fortepianu, akordeonu, skrzypiec, instrumentów szarpanych. Projektuje się też otwarcie klasy śpiewu solowego.

Kino podlegające Domowi Kultury czynne jest codziennie, z wyjątkiem poniedziałków zarezerwowanych dla Filmowego Klubu Dyskusyjnego. Cieszy się ono dużym powodzeniem, czego na przykład nie można powiedzieć o imprezach „Estrady”, operetki, a nawet Teatru Państwowego, organizowanych w samym Domu Kultury. Od pół roku pełną salę miał tylko „Klucz od przepaści” — spektakl Teatru Państwowego z Lublina, natomiast na „Wassie Zeleznowej” komp-

letne pustki. Tak samo zresztą, jak na przedstawieniach gdańskiej i wrocławskiej „Estrady”, a trzeba przyznać, że w obydwu wypadkach „Estrada” wystąpiła z bardzo dobrze przygotowanymi sztukami pełnospektaklowymi, które gdzie indziej spotykały się z uznaniem publiczności. Operetka, na którą w Lublinie trudno dostać bilety, w Świdniku nie miała powodzenia. Publiczność w Świdniku jest widocznie bardziej wybredna niż w pobliskim Lublinie, trzeba dobrze nałamać sobie głowę, czym można by ją zadowolić.

Od wiosny ruszyła akcja odczytowa. Przedem też ją prowadzono, jednakże na prelekcjach, które odbywały się w hotelach robotniczych, bywało po 10 do 20



Ognisko muzyczne

osób. Wzrost frekwencji osiągnięto bardzo sprytnie. Po każdym odczycie zaczęto wyświetlać filmy. Film i odczyt były bezpłatne, jednak nie wpuszczano na film tych, którzy nie chcieli słuchać odczytu. Taką metodę stosuje nie tylko Dom Kultury w Świdniku, stosują ją na szeroką skalę i inne instytucje kulturalno-oświatowe. Metoda ta daje pewne rezultaty — frekwencja wzrasta. Wszystko to jednak mnie osobliście przypomina stosunek rodziców do rozkapryśzonego dziecka. Jak Bobuś zje kaszkę, to dostanie cukierka. Pytanie jednak, czy dorosłych warto zachęcać do zjedzenia kaszki. Czy te odczyty im smakują, czy przynoszą korzyść?

Na pewno lepszy, bo bardziej atrakcyjny jest odczyt z filmem, niż bez filmu, ale najlepszy wtedy, gdy do wysłuchania go nie trzeba zachęcać jakąś słodką obietnicą. Będzie to chyba odkryciem Ameryki, jeżeli przypomnę, że prelekcje wtedy mają sens, kiedy ja-



Wszystkie zespoły artystyczne nie mogą się pomieścić w Zakładowym Domu Kultury w Świdniku. Orkiestra dęta korzysta z lokalu Ogniska Muzycznego. Na zdjęciu: część orkiestry w czasie próby.



Zespół taneczny domu kultury w czasie próby. Na zdjęciu fragment z wiązanki tańców ukraińskich.



Zespół dramatyczny przygotowuje się do wystawienia „Miasta milionerów“ Edwarda de Filippo. Właśnie odbywa się pierwsza próba czytana.

kieś określone środowisko domaga się takiego właśnie, a nie innego odczytu. Sensowna akcja odczytowa to oczywiście muzyka przyszłości, nie trzeba jednak o niej zapominać.

Pisząc o Domu Kultury w Świdniku warto zasygnalizować szybki rozwój koła fotoamatorów grupującego zarówno inteligencję, jak i pracowników fizycznych (ci ostatni są trochę słabsi liczebnie). Koło powstało w kwietniu rb. W tej chwili liczy już 24 członków. Dom Kultury wyposażył je w sprzęt i aparaty, obecnie jeszcze przykro daje się odczuwać brak lokalu, w którym koło mogłoby prowadzić swoje zajęcia. Zarząd Domu Kultury od dawna dopomina się o wyremontowanie baraku i o przybudówkę, a tyle wskórał, że ostatnio cofnięto mu dane poprzednio obietnice.

Za to biblioteka ma podobno wkrótce otrzymać nowy lokal. Wtedy będzie można przy niej otworzyć czytelnię czasopism. Naprawdę dobrze by to było, bo jak wiadomo, w tej chwili czytelnie czasopism cieszą się dużym powodzeniem.

Dom Kultury w Świdniku niewątpliwie ma już kawał roboty za sobą. Rozwój Ogniska Muzycznego, dobry stan zespołów artystycznych, rozwój Filmowego Klubu Dyskusyjnego (ta forma, jak się okazuje, jest niezawodna), koła fotoamatorów, a nawet wzrost frekwencji na odczytach wskazują na to, że praca w Domu Kultury rozwija się. Trzeba jednak przyznać, że na potrzeby osiedla świdnickiego liczącego bądź co bądź 12.000 mieszkańców, taka działalność jest stanowczo za mała. Na pewno przydałaby się tu jakaś czytelnia czasopism, sala, w której można by przynajmniej co sobotę potańczyć, niedroga kawiarnia bez wyszynku napojów alkoholowych, wygodniejsze pomieszczenie dla aeroklubu, który choć należy do przodujących w kraju, warunki lokalowe ma okropne. Słowem, bez burzenia tego, co zrobiono dotychczas, trzeba by prace kulturalno-oświatową prowadzić dalej, rozszerzając ją i zwracając większą niż dotąd uwagę na dostarczenie ludziom zdrowej, kulturalnej rozrywki. Może to się stać tylko w tym wypadku, gdy Dom Kultury, który dotąd dość szczęśliwie, niestety jednak samopas, borykał się z trudnościami, znajdzie silniejsze niż dotychczas poparcie ze strony dyrekcji i rady zakładowej. Konieczne jest też mocniejsze związanie się z inteligencją. Ostatecznie chyba nie zbuduje się kultury bez inteligencji, a najwięksi nawet inżynierowie-specjaliści mają chyba jakieś zamięłowania kulturalne. W dojrze prowadzonym Domu Kultury powinni znaleźć dla siebie miejsce nawet ludzie o najbardziej wyrafinowanych gustach. Oczywiście stanie się to możliwe wtedy, kiedy pracy kulturalno-oświatowej nie będzie się traktować jako równoznacznika pracy polityczno-wychowawczej, tylko trochę szerzej i rozsądniej. Powoli się na to zanosi.

M. S.

O CZYM PISAŁA „KAMENA“ PRZED 20 LATY

Październikowy numer „Kamena“ z r. 1936 zawierał artykuły Tadeusza Bocheńskiego „Małe pomniki człowieczeństwa“ i L. Gomolickiego „Poezja w diasporze“, wiersze J. Łobodowskiego, Olgi Daukszy, M. Lurczyńskiego, H. Czerkiesa, M. Lisiewicza, T. Bocheńskiego i J. K. Weintrauba, przekłady K. A. Jaworskiego z poezji rosyjskiej na emigracji i P. Hertza, T. Bocheńskiego, Z. Waśniewskiego i J. K. Weintrauba —

z poezji niemieckiej. W notach m. in. ocena miesięcznika literackiego „Studio“, cytaty z alarmującego artykułu J. Nowaka w „Tęczy“ — „Swastyka w Polsce“, wiadomość o konfiskacie „Fowodzi i świata“ Mariana Czuchnowskiego i aresztowaniu autora tego poematu Numer zdobyła wkładka linotypowa Zenona Waśniewskiego „Motyw wenecki“.



Jerzy Starnawski

LUBELSKA KSIĘGA MICKIEWICZOWSKA Z R. 1898

Badając recepcję Mickiewicza na terenie Lubelszczyzny stwierdzić trzeba, że w latach niewoli niewiele da się znaleźć na tym terenie momentów szczytnych dla całości dziejów kultu Mickiewicza w kraju. Inaczej nie mogło być w gubernialnym mieście „Kraju Prywiślańskiego“ pozbawionym możliwości krzewienia kultury polskiej. Lata te nie są jednak w dziejach kultury Mickiewicza pustą plamą. Pewne przejawy recepcji poezji Mickiewicza dadzą się zanotować i w chwilach najcięższych. Drobną faktą zostaną omówione w syntetycznym szkicu podpisanego o dziejach recepcji Mickiewicza w Lublinie i Lubelszczyźnie, który niebawem ujrzy światło dzienne w tomie V Roczników Humanistycznych Towarzystwa Naukowego KUL, ale jeden moment zasługuje na omówienie osobne. Jest nim Księga Pamiątkowa przygotowana do druku w 100 rocznicę urodzin Poety.

Przedsięwzięcie lubelskie nie doszło do skutku. Materiały dostarczone do Księgi spoczywają wśród rękopisów Biblioteki Łopacińskiego w Lublinie pod n-rem 558. Nieco światła na lubelską imprezę mickiewiczowską rzuca korespondencja Łopacińskiego przechowywana częściowo w Bibliotece jego imienia w Lublinie, częściowo w Bibliotece PAN, Oddział w Krakowie, a w drobnej części także w Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy

Jak wynika z odezwy warszawskiego Komitetu Mickiewiczowskiego do wydawnictwa (rkps 558 poz. 17 — 18), Komitet redakcyjny Księgi lubelskiej działał w porozumieniu z Warszawą. Księga miała więc być obok dwutomowej Księgi wydanej w Petersburgu, obok skromniejszej znacznie warszawskiej zatytułowanej „Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych“, obok Pamiętnika kieleckiego wydanego na

100 rocznicę urodzin Mickiewicza, jednym jeszcze przejawem holdu dla Mickiewicza w r. 1898 od Polaków w zaborze rosyjskim.

„Komitet redakcyjny“ Księgi tworzyły dwie osoby: Hieronim Łopaciński, bez którego nic się wówczas nie działo w życiu kulturalnym Lublina, i Zofia Kowerska, zapomniana dziś powieściopisarka, mieszkająca blisko Lublina, pozostająca w serdecznych stosunkach z Łopacińskim, wymieniana przez niego w liście do Zygmunta Wolskiego z 24.III.1890 jako „znana autorka“¹⁾.

Pomysł Księgi zrodził się wiosną 1897. Świadectwem podjęcia prac w tym czasie jest list Łopacińskiego do Stanisława Ostrowskiego, aptekarza w Chodlu, budziela życia kulturalnego na głuchej prowincji, z dnia 7 maja 1897:²⁾

„Kochany Panie Stanisławie...

Zamierzamy w r.p. wydać książkę zbiorową poświęconą pamięci Mickiewicza; na książkę złożyć się mają siły miejscowe; artykuły pożądane są przeważnie treści przyrodniczej, historycznej, etnograficznej, statystycznej, higienicznej itp. o miejscowych rzeczach; redakcję obejmuję p. Z. Kowerska. Na liście osób, które mogą się pracami swymi przyczynić, jesteście i Wy. Ja zaś mam mandat do zapraszania osób znajomych sobie. Bądźcie więc łaskawi sami nie odmówić pomocy i zachęcić kogo ze znajomych. Termin nadsyłania prac do 1.XII.97, adres do p. Kowerskiej; Józów przez Lublin i Bychawę; lub do mnie...“

¹⁾ Rękopis Bibl. Publ. m. st. W-woy n. 431.

²⁾ Rkps. B. Ł. 1995.

O dalszych losach Księgi wzmiankuje Jan Karłowicz w liście do Hieronima Łopacińskiego z 15 maja 1898: „Cenzura jeszcze nie zwróciła lubelskiej Księgi Mickiewiczowskiej.”³⁾

Przy końcu roku 1898 redaktorzy Księgi wiedzieli już na pewno, że zamiar ich nie został urzeczywistniony. Jan Zakrzewski z Warszawy pisał do Łopacińskiego 28 listopada 1898:

„...O ile z wieści, które mnie tutaj doszły i ze słów Profesora unosić mogę, książka Lubelska na cześć Mickiewicza idzie ad acta...“⁴⁾.

W dalszej części listu Zakrzewski wycofuje swój artykuł napisany do Księgi.

Teczka n. 558 w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Łopacińskiego przechowuje 21 prac. Zgodnie z charakterem Księgi wyłożonym w cytowanym liście Łopacińskiego do Ostrowskiego są to prace różnorodne. Niektóre są istotnie „treści historycznej, etnograficznej...“ Wśród tych kilka związanych ściśle z Lubelszczyzną, np. artykuł historyczny Stanisława Ostrowskiego pt. „Chodel“ i artykuł ks. Stanisława Skórzyńskiego „Kościół w Końskowoli“, omawiający zabytki historycznego kościoła, na którego cmentarzu pochowany jest Franciszek Dionizy Książkin.

Dokonywany przez Cecylię S. odpis pieśni ludowej z Lubelskiego, mającej motto z Konrada Wallenroda:

...serca kochanków
złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty
pieśni rozpoczęj słowami:

W lubelskim powiecie nowina się stała

wiąże się już nie tylko z ziemią lubelską, ale i z Mickiewiczem, z recepcją jego poezji u ludu lubelskiego. To zagadnienie jest również przedmiotem wspomnienia podpisanego AEO pt. „Z naszej wioski.“ Jest to gawęda o tym, jak wójt z Naglewa opowiadał w swojej wsi o Mickiewiczu.

„Nie darmo... jemu, temu Mickiewiczowi... taką dużą kamienną figurę jego stawiają! Ile to on nam rzeczy zostawił i pieśniów różnych, a jakie mowy do składu!...“.

Cytując Inwokację z Pana Tadeusza wołał wójt z Naglewa:

„Niechno kto tak ładnie naszą ziemię opisze!
nasze pole, naszą miedzę zieloną, co to na niej
grusze siedzą! Oj, tak wiele tu ślicznusięńkich
rzeczy, a my dopiero o nich zaczynamy wie-
dzieć...“.

Nie łączą się z Mickiewiczem ani z Lubelszczyzną artykuły: Wincentego Łosia „Nowa architektura Krakowska“, M. Biernackiego „Pod wrażeniem słowiańszczyzny Grottgera“, wiersz Lucjana Janowskiego „Chwila z życia artysty“, jak również podpisany pseudonimem Ignis dramat w jednym akcie pt. „Obrona Trębowl“. Jest nawet jeden artykuł o treści „higienicznej“, jak przewidywał to Łopaciński: anonimowy „Projekt przepisów dotyczących schludności, powietrza i oświetlenia w szkole“.

Szczególniejszą uwagę zwraca artykuł podpisany „X“ pt. „Kilka słów o Janie Czeczocie“. Jest to wspomnienie o przyjacielu Mickiewicza z czasu jego pobytu w Leplu. Autor wspomnienia „dzieckiem jeszcze będąc“ znał bardzo dobrze Czeczotę. Cytując artykuł o nim z Encyklopedii Orgebrandta (t. VI — 1861), autor wspomnienia prostuje relację zbyt eufemicznie przedstawiającą pobyt Czeczoty w Rosji. Należy przy tym podkreślić zgodność szczegółów wspomnień rękopiśmiennych z artykułem Czesława Jan'owskiego pt. „Czeczot i Zan w Leplu“, drukowanym w wymienionej już księdze pamiątkowej „Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych“.

Jak wynika z wspomnień rękopiśmiennych, Czeczot wysłany do Orenburga „w żołdactwo“ (1823) przebywał tam lat dziesięć w bardzo ciężkiej i twardej służbie. Dopiero w r. 1833 zwrócił na siebie uwagę pułkownika Tiufajewa, który, będąc naczelnikiem sekcji be-rezyńskiego kanału, wyrobił mu miejsce pisarza w biurze zarządu inżynierów wodnej komunikacji w Leplu, miasteczku powiatowym gub. wiebskiej. Tu przebywał Czeczot około ośmiu lat, otoczony powszechnym szacunkiem. Szerzył polską książkę i prasę. Krótko omówiony jest następnie (już nie z własnych wspomnień) pobyt Czeczoty w Szczorsach i w Wolnej u Rafała Śliżnia. Czeczot zmarł w r. 1847 w Druskiénikach w ciężkiej biedzie; pochowany został ze składek kucracjuszy druskiénickich za sprawą d-ra Pileckiego.

Z dalszych materiałów dostarczonych do Księgi zasługuje na krótką wzmiankę „Urywek wspomnień Józefa Wołowskiego“, mówiący o lekturze Mickiewicza wśród młodzieży polskiej w piątym dziesiątku XIX wieku, lekturze zakazanej przez władze szkolne Królestwa. Wołowski uczęszczał do gimnazjum w Piotrkowie. Nauczycielem języka rosyjskiego był tam książę Saakadzew. Zdarzyło się na lekcji języka rosyjskiego w VII klasie, że Wołowski czytał po kryjce mu krążący w klasie w odpisie wiersz Mickiewicza „Do matki Polki“. Złapany przez nauczyciela podał kartkę na kawalki, ale kawalki te dostały się w ręce księcia, przy czym Wołowski z początku nie przyznał się, co czytał. Gdy sprawa nabrała rozgłosu i likwidowana była ostro przez dyrekcję szkoły, Wołowski wyjawiał wreszcie prawdę na przesłuchaniu u księcia. Saakadzew tłumaczył mu:

„Mickiewicz wielki poeta, człowiek genialny,
przyjaciel naszego nieśmiertelnego Puszkina, ale
utwory jego wcale nie dla takich jak wasze nie-
dowarzonych głów, to też słusznie są wzbronio-
ne“.

ale zląawszy ucznia tymi słowami, kazał mu przepisać bajkę Franciszka Morawskiego pt. „Szczury i małpa“, której przed tygodniem słuchał w wykonaniu Wołowskiego i orzekł wówczas, że mu się ten utwór podoba, po czym podarł na kawalki kartkę z bajką Morawskiego i załączył jako corpus delicti a spalił kawalki z wierszem „Do matki Polki“ i w dalszych zeznaniach nauczyciel i uczeń oświadczały zgodnie, że wierszem czytany skrycie na lekcji rosyjskiego była bajka Morawskiego. Dochodzenia były bowiem nadal prowadzone, a jako delegat Zarządu Okręgu Nauko-

³⁾ Rkps. Bibl. PAN Oddz. w Krakowie 2273.

⁴⁾ Rkps. B. Ł. n. 559, poz. 52.

wego zjechał z Warszawy do Piotrkowa... Józef Korzeniowski. O jego zachowaniu się Wołowski nie podaje bliższych szczegółów.

Prawdziwą perłą w lubelskiej niedoszej księdze Mickiewiczowskiej jest wiersz znanej poetki lubelskiej, Franciszki Arnsztajnowej pt. „W krypcie Mickiewicza”. Ten utwór zasługuje na przytoczenie in extenso, tym bardziej, że nie został wcielony do żadnego późniejszego zbioru Arnsztajnowej i według prawdopodobieństwa nie był nigdy drukowany.

*Krypta... w głębi przed licem Najświętszej Pani
Na łańcuchach czerwona lampka się kołysze...
Drgający promień, blaski złocistej sukienki,
I ust Przczystej słodycz, i oczu Jej ciszę
Na rubinowych światel przetkawszy rumieńce,
Po sarkofagu rzuca róż płomiennych wieńce;*

*To znowu niby śliska purpurowa żmija
Skroś misternie rzeźbionej białości piaskowca
Ognistymi splotami zwolna się przewija
I szkarlatnym językiem liże mur grobowca;
To znowu na cichego kamienia krawędzie
Niby rój trzepoczących motyli usiądzie.*

*I słyszysz tłumiące własnych stąpań drżące huki,
Jak dziwnym jakimś szmerem dźwięczy krypta pusta,
Jakieś szepty, westchnienia płyną w sklepięń łuki...
Rzekłbyś, że anioł ciszy koralowe usta
Położył na kamieniu i przez grobu ciemnie
Z prochem wieszczą rozmowę prowadzi tajemnie.*

*I szeptem prochem cichym opowiada może,
Że po długiej tulaczce leży w Polskiej ziemi,
I że z ócz Ostrobramskiej Panny złote zorze
Im święcą i że mury Wawelu nad niemi,
I że prastarych spizów serca się kołyszą
Nad ich kryptą... O wieszczu, czy prochy twe słyszą?*

Wiersz ten przesłany został Zofii Kowerskiej z następującym listem Arnsztajnowej:

„Lublin, d. 23.XI.97 r.

Szanowna Pani,

W myśl danej obietnicy śpieszę przesać wiersz do „Księgi Mickiewicza”. Byłabym Szanownej Pani niewymownie wdzięczną, gdyby zechciała mnie taskawie zawiadomić, czy takowy wydaje się Jej odpowiednim. Na wypadek, gdyby cenzura robiła jakieś trudności, można drugi wiersz ostatniej strofki zmienić w następujący sposób:

*Że po długiej tulaczce leżą w polskiej ziemi,
napisać:*

Że leżą już bezpiecznie pomiędzy swojemi.

*Łącząc wyrazy szacunku i poważania, pozostaje
F. Arnsztajnowa“.*

Na koniec pytanie, czy teczka n. 558 w dziale rękopiśmiennym Biblioteki Łopacińskiego zawiera wszystkie utwory nadesłane do Księgi? — Prawdopodobnie nie. Uderzający jest brak utworów Zofii Kowerskiej i Hieronima Łopacińskiego. Łopaciński w petersburskiej dwutomowej Księdze Mickiewiczowskiej ogłosił rozprawę pt. „Listy i wiersze Feliksa Kólakowskiego”. Istnieje przeto możliwość, że tę pracę przeznaczał najpierw do Księgi lubelskiej, a gdy ta poszła „ad acta”, przesłał ją szybko Księdze petersburskiej. Może być, że dla Księgi lubelskiej przewidywał inną pracę, może jakąś regionalną, i wydrukował ją potem gdzie indziej.

Ogólnie stwierdzić należy, że niezrealizowana Księga lubelska z r. 1898 nie byłaby zbyt ważnym wydaniem ani w dziejach recepcji Mickiewicza, ani w życiu naukowym Polski. Dodać tylko należy, że księgi pamiątkowe powstające wówczas w ośrodkach prowincjonalnych gromadziły często prace różnego typu i dowolności tematu tkwiąca u podstaw przedsięwzięcia lubelskiego nie była zjawiskiem odosobnionym. Przedsięwzięcie lubelskie miało swoje walory i w związku z niedawnym rokiem Mickiewiczowskim należy mu się wzmianka w lubelskim miesięczniku kulturalno-literackim.

Jerzy Starnawski

KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY

We wrześniu w lubelskiej Akademii Medycznej, na polecenie ministra zdrowia, przeprowadzono wybory nowych władz uczelni. Jest to pierwszy w Polsce wypadek wzorowania się na zasadach projektu ustawy o szkolnictwie wyższym. Projekt ten rozpatrywano na wrześniowej sesji Sejmu. Połączone Rady Wydziału Lekarskiego i Farmaceutycznego dokonały wyboru w tajnym głosowaniu. Rektorem Akademii został wybrany prof. dr Wiesław Hołobut, kierownik Zakładu Fizjologii, prorektorem do spraw nauki — prof. dr Stanisław Mahrburg, do spraw dydaktyki — prof. dr Janina Opieńska-Blauth, do spraw klinicznych — prof. dr Jacyna-Onyszkiewicz.

W niedzielę 16 września w lasach parczewskich pow. lubartowskiego w pobliżu wsi Ochoża, gdzie w czasie wojny stacjonował sztab Gwardii Ludowej, odbyło się uroczyste spotkanie byłych partyzantów tego rejonu z młodzieżą i społeczeństwem z okolic Parczewa, Lubartowa, Radzyna i Włodawy. Na spotkanie to przybył b. dowódca oddziałów AL: Hilary Chelchowski, członek Rady Państwa, Mieczysław Moczar, minister PGR i inni. W spotkaniu tym wzięło udział około 5 tysięcy osób.

*

W Zamościu przystąpiono do remontu kapitalnego tak zwanej Rotundy. Rotunda ta pozostała po rozebraniu murów obronnych Zamościa jako jeden z elemen-

tów dawnych fortyfikacji. W czasie okupacji hitlerowskiej służyła jako miejsce straceń. Obecnie jest cmentarzem, na którym pochowano 4 tysiące ofiar hitlerowskich. Na konserwację tego zabytku przyznano 255 tysięcy złotych. Wnętrze Rotundy zostanie urządzone jako muzeum martyrologii polskiej.

*

Roboty renowacyjne wokół Starego Rynku w Zamościu postępują systematycznie naprzód, jednak powoli. Przyczyną wolnego tempa jest brak materiałów, który może okazać się przyczyną niewykonania planowych robót w roku bieżącym.

W czasie prac renowacyjnych przy kamienicy położonej przy pl. Mickiewicza 14 odkryto ślady sgrafitta na wysokości I piętra. W toku dalszych robót zostanie zwrócona uwaga na możliwość odkrycia dalszych warstw barwnego tynku.

*

W Lubelskim Miejskim Domu Kultury na Zamku powstał międzyszkolny ośrodek kultury dzieci i młodzieży, zorganizowany wspólnie z Miejskim Wydziałem Oświaty. Powstało w nim sześć kierunków specjalizacji: koło szachowe, filatelistyczne, literackie, fotograficzne, filmowe i plastyczne. Największym zainteresowaniem cieszą się koła plastyczne i filmowe. Wszystkie koła razem liczą około 500 osób.



Próba w ognisku baletowym na Zamku

*

Teatralny zespół Miejskiego Domu Kultury na Zamku pod kierunkiem Zdzisława Siedleckiego pracuje nad „Czajką“ Czechowa oraz „Człowiekiem i cieniem“ Szwarca, a zespół teatru eksperymentalnego „Atem“ w Domu Kultury przygotowuje „Colas Breugnon“ — Romain Rolanda w opracowaniu inż. Kędzierskiego.

*

Pod kierownictwem profesorów — wokalistów w salach Miejskiego Domu Kultury przygotowuje się na październik kilka wieczorów pieśni i solowej. Będą to występy uczniów prof. Wyleżyńskiej, prof. Szałańskiej i prof. Damiękiej.

*

Z okazji Międzynarodowego Tygodnia Muzealnego Muzeum Lubelskie ogłosiło konkurs na rysunki młodzieży o tematyce związanej z zagadnieniami muzealnictwa. Termin zgłaszania prac upłynął z dniem 5.X.br.

*

Ożywiła się działalność Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów, w którego lokalu red. E. Grzybowski i red. M. Jaworski wygłosili niedawno ciekawą pre-

lekcję na temat Kanału Sueskiego. 22 września odbyła się w tym samym lokalu impreza w związku z Mięsiącem Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej z udziałem artystów Teatru im. Osterwy w Lublinie.



Koło szachowe

*

Na rynku Starego Miasta w Lublinie cieszył się wielką popularnością wśród młodzieży i mieszkańców dzielnicy zorganizowany przez CPLIA kiermasz ceramiki ludowej regionu lubelskiego.

*

W świdnickim Domu Kultury odbyło się 11 września spotkanie młodzieży z przedstawicielstwem młodzieży Brześcia: Ludmiłą Lesowoj, Michałem Zańko i Sergiuszem Lewkowiczem. Z okazji tego spotkania wystąpił z piosenkami sekstet żeński Domu Kultury w Świdniku oraz solistki: Simona Włoch i Eugenia Chyćko. Przygrywał zespół instrumentalny pod kierownictwem T. Nowosada.



Kiermasz ceramiki ludowej

*
Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wspólnie z wydziałami kultury PPRN przygotowuje się do przeglądu ukraińskich zespołów artystycznych naszego województwa.

*
19 września na Zamku odbyło się rozdanie nagród uczestnikom wystawy Fotografii Amatorskiej. W drugiej połowie września otwarto tam wystawę polskiego plakatu filmowego.

Poza tym w sali wystawowej na Zamku otwarto wystawę rysunków Leonarda da Vinci z eksponatów dostarczonych przez UNESCO.

*
Na otwartych w pierwszych dniach września wystawach rolniczych w Zamościu i Białej Podlaskiej znajdowały się także stoiska ilustrujące rozwój placówek kulturalnych powiatu. Otwarcie wystaw było połączone z imprezami dożynkowymi.

H. S.



Z Wystawy Plakatów na Zamku

Wizyty Ukraińców w Lublinie. W związku z Dekadą Ukraińską gościliśmy na terenie Lublina i województwa kilka grup naszych sąsiadów zza Bugu.

M. in. bawiła grupa kołchoźników, których podejmowali spółdzielcy w Różance (powiat Włodawa).

Zespół Państwowego Teatru Opery i Baletu im. I. Franki, Państwowej Filharmonii oraz studenci szkół artystycznych ze Lwowa w dn. 1. X. wystąpili z koncertem w sali Państwowego Teatru im. J. Osterwy. Koncert ten zyskał sobie duże uznanie u publiczności lubelskiej, szczerze zapelniającej widownię.

Delegacja gości ukraińskich w osobach: kier. Obw. Zarządu Kultury Witoszyński, I sekretarz Zarządu Komsomolu Trypolski oraz poeta Malawski — złożyła wizytę w redakcji „Kamery”, gdzie pół godziny spędzono na miłej, koleżeńkiej rozmowie. Goście ofiarowali redakcji szereg dzieł z literatury ukraińskiej klasycznej i współczesnej. Redakcja odwzajemniła się egzemplarzami najświeższego numeru „Kamery”, w którym znajdują się przekłady z literatury ukraińskiej.

Lubliniana w Warszawie. W lokalu przy gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki, w dniach od 21 września do 15 października br. wystawiane były prace Edwarda Hartwiga p. n. „Lublin w fotografice”. Wystawa obejmowała 63 dzieła artystycznej fotografii, ukazujące piękno naszego miasta, a w szczególności lubelskiej Starówki.

W hollu Uniwersytetu, na wystawie druków polonistycznych z lat 1945—56, wśród czasopism literackich znajduje się również „Kamena”, co notujemy z przyjemnością, przypominając jednocześnie „Ruchowi” o wielu ważnych punktach w stolicy, gdzie pismo nasze nie odciiera (np., duże stoisko przy warszawskich ruchomych schodach).

Gość z Czechosłowacji. Dnia 10 bm. odwiedził redakcję „Kamery” stały czytelnik naszego pisma, p. Antonin Mieszian, wybitny polonista czeski, uczeń prof. Karola Krejczygo. P. Mieszian, przyjechał do Polski na dwumiesięczny pobyt. Zaplanowana (i częściowo już zrealizowana) trasa obejmuje Warszawę, Lublin, Kraków i Poznań. Odwiedzi również Bibliotekę Kórnicką w poszukiwaniu materiałów do pracy o reformacji w Polsce, a zwłaszcza o ruchu arian i braci czeskich.

Pogotowie Ratunkowe muzykuje. Docierają do nas skargi, że Pogotowie Ratunkowe przy ulicy Sławińskiego założyło sobie megafon (na zewnątrz), że hałas, porykiwania, krakowiaczki, referaty, słowem: przymus słuchania audycji radiowych Pogotowia, bo interwencje telefoniczne nie skutkują. Kierownictwo Pogotowia proszone jest o zaniechanie tych „kulturalnych” hałasów.

(Z)

O lubelskiej fontannie. Pisało się już dużo o lubelskiej fontannie, ale poruszano przeważnie koszty jej budowy.

Fontanna jednakże ma przede wszystkim być dziełem sztuki. Nasza fontanna dziełem sztuki nie jest. Ona po prostu krzyczy swoją brzydota.

Za nią są budynki zabytkowe, lekkie i harmonijne, plac ożywiony kwietnikami otaczają stare drzewa i wznoszą się na nim trzy pomniki. Na tym tle fontanna uderza swą ciężkością, toporną monumentalnością — jest masywna, wielka i szara. Cokół jej stanowi nieodróżnioną architektonicznie bryłę, sterzy do góry jakby wbity, a niewkomponowany w płaszczyznę basenu.

Basen jest bezkształtny, całość o wiele za duża w stosunku do rozmiarów placu, o wiele za monumentalna w stosunku do zabytkowych gmachów placu i pretensjonalna.

Nie rozumiem też, co znaczą zwykłe rury wodociągowe w kątach basenu, strzelające dodatkowymi strumieniami wody. Czy mają zostać na stałe i w ten sposób „upiększać” fontannę? Czy pomost drewniany wiodący z brzegu basenu na cokół, też pozostanie na stałe jako... motyw architektoniczny?

K. M.

GŁOSY Z TERENU

Chełm

Jedno z największych miast Lubelszczyzny niedługo już ma się doczekać przyswoitego oświetlenia w godzinach wieczornych. Przystawione „egipskie ciemności”, jakie panują w Chełmie, zaniepokoiły bowiem wreszcie radnych tego miasta, którzy wywalczyli dodatkowe fundusze na oświetlenie ulic. „Rozjaśnienie sytuacji” przyczyni się niewątpliwie również i do ukrócenia bujnego życia miejscowej chuliganerii, której ciemności nader dotąd sprzyjają.

Hrubieszów

„Do Hrubieszowa i powiatu posłowie i radni wojewódzcy nie zaglądali prawie nigdy, a jeśli zdarzyło im się przyjechać, nie brali pod uwagę wniosków działaczy Komitetów Frontu Narodowego i nie starali się ani poznać, ani usunąć choćby w części bolączek wyborców. Brak powiązania Powiatowej Rady Narodowej w Hrubieszowie z Powiatowym Komitetem Frontu Narodowego wpływa na to, że w dalszym ciągu w mieście i powiecie jest szereg niedociągnięć” — oto charakterystyczny głos Józefa Wnuka, przewodniczącego PKFN w Hrubieszowie.

Biała Podlaska

Nie cieszy się Lublin sławą czystego miasta, ale jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w niektórych innych miastach naszego województwa. Np. Biała Podlaska. Zwyczajem jest tam wylewanie na jezdnie ulic brudnej wody i mydlin. Dzieje się to nawet w samym środku miasta. Z powodu braku zlewów płynne brudy z niektórych posesji ciekną z bram wprost na chodnik. Nie ma dostatecznej liczby specjalnych tablic na ogłoszenia wobec czego „klajstruje” się bramy i ściany domów. Pełno zrujnowanych domów. Pełno zrujnowanych, niszczących parkanów. Doprawdy wstyd, ojcowie miasta!

Zaklików

„Podobno na prowincji mówi się o XX Zjeździe tak, jak ludzie wierzący mówią o życiu pozagrobowym. Zmiany, o których się słyszy i na które się czeka, są tu sprawą bardzo odległą i jakby trochę nierealną“.

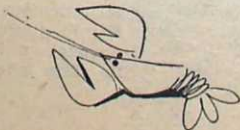
Takim komentarzem zaopatruje publicysta „Sztandaru Ludu” artykuł omawiający n'ezdrową atmosferę, jaka panuje podobno w dyrekcji Zespołu Rybackiego w Zaklikowie. Problem postawiony ciekawie i wart bliższego rozpoznania na przykładzie chociażby naszego Zaklikowa.

Kazimierz



Zenon Kononowicz nadesłał nam z Kazimierza Dolnego takie oto zdjęcie prawdziwie „pomnikowego” napisu.

O nieszczęsna ortografio! O Kazimierzu Dolny!



Nad nocą saską*)



„Noc saska“ jest powieścią o życiu chłopów pańszczyźnianych i wolnych, o życiu drobnej szlachty i magnaterii, o ficygnach i królach, o ucztach i bitwach. Obejmuje początek XVIII w.

Konstrukcję powieści można by porównać z ruszowaniem rozszerzającym się ku górze. Na każdym piętrze przybywają nowe problemy, nowi ludzie. Jednakże całość jest zwarta. Wprawdzie brak wyraźniejszych punktów kulminacyjnych, można jednak mówić o nasileniu zaangażowania czytelnika w pewnych momentach poszczególnych rozdziałów. Zakończenie powieści — to jakaś symboliczna klamra, zamykająca niedokończoną celowo wątki. Dzięki wysunięciu na plan pierwszy nie jednego bohatera, ale kilku postaci i dzięki silnemu powiązaniu z nimi wszystkich wątków — Rymkiewicz potrafił się ustrzec chaosu tematycznego przy ukazaniu całokształtu życia w saskiej Polsce.

Zauwazyć się daje dość wyraźna linia rozwojowa fabuły — od wypadków o charakterze społeczno-obywatelskim do politycznych. I tutaj można skierować do autora pewne zastrzeżenie: saska „noc“ była dla Polski i jej dalszych losów momentem przełomowym. Nie wystarczy stwierdzić: „Cały kraj od Sasa do Lasa się miota jak okręt na wzburzonej fali. A czy wylądujemy szczęśliwie, Bóg to raczy wiedzieć. Prędzej, rozbijemy się na rafach...“ (str. 91) „Polacy byli kiedyś wielkim, bohaterskim narodem. Mówię, kiedyś... Było to w czasach nie tak dawnych, gdy mieli Koniecpol-

skiego, Czarnieckiego, Sobieskiego. A patrz, jak nisko upadli. Zeszli na psy. Dziś mają tylko zdrajców, białonów i pajaców“. (Str. 76)

Władysław Rymkiewicz nie wyzyskał tych wszystkich momentów politycznych początku XVIII wieku, raczej prześliznął się po nich. Z „Nocy saskiej“ nie można się nauczyć historii. Ktoś powie, że nie wolno tego od powieściopisarza wymagać. Może. Wówczas każdy czytelnik ma prawo zażądać rekompensaty: jeśli nie historia osnuta na tle ciekawej fabuły, to jakiś wyraźniejszy wycinek kolorytu epoki. Ale właśnie „Noc saska“ przy swojej linii rozwojowej w kierunku spraw politycznych odeszła od dużych możliwości ukazania ciekawego życia Kurpiów.

Rymkiewicz przed napisaniem swej powieści poczynił niewątpliwie pracowite studia — historyczne, językowe, poznał zagadnienia ówczesnej literatury, poezji ludowej itp. Efekt ich nie został uwieńczony pełnym sukcesem, na przeszkodzie stanął brak zdecydowanego wyboru.

O „saskiej nocy“ opowiada Rymkiewicz potoczystym, płynnym językiem, lekko archaizowanym. Urozmaica go wierszem lub piosenką. Wydaje się jednak, że poza wmontowaną w tekst gadką kurpiowską należało unikać posługiwania się — nawet w dialogach — tą jedną z najtrudniejszych gwar polskich.

Przy czytaniu „Nocy saskiej“ dostrzegamy brak szerszych opisów bitew. Autor bardzo umiejętnie unikał obrazów walk zbiorowych i pojedynków — zupełnie nowe ich przedstawienie wymagałoby chyba nie lada talentu — natomiast wybrał nie tak ograne opisy napadu bandy zbójckiej i „partyzanckich“ bojów Kurpiów przeciwko potężnej armii szwedzkiej. W sposób ironiczny i dowcipny potrafił niejednokrotnie przedstawić istotę „saskiej nocy“. Choćby przy owej scenie ze zbójnikami, kiedy herszt bandy mówi: „Nie myśl, waszmość, że masz przed sobą ino zboja (...) Widzisz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości... W całej Rzeczypospolitej przy mnie tylko jednym jest jurysdykcja między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic albo ekonom ukrzywdzą chłopą, a ten do mnie uda się ze skargą, zaraz posyłam, żeby sprawiedliwość uczyniono pod groźbą, że jak będzie inaczej, to tydzień nie minie i dwór z dymem pójdzie“. (Str. 64.)

Już wtedy nie można było wróżyć Polsce lepszej przyszłości. Stawała się bezsilną Rzeczpospolitą magnacką. Cóż znaczyły nieliczne głosy w sejmie: „Nie zostawiajmy potomnym przykładu wyboru króla wśród obcej siły zbrojnej według woli obcego mocarstwa...“ (str. 95). Jednostki nie potrafiły temu smutnemu faktowi przeciwdziałać. „Karol XII wezwał Leszczyńskiego i w obecności kilkudziesięciu oficerów powiedział: — Zostaniesz pan, panie wojewodo, kró-

*) Władysław Rymkiewicz — „Noc saska“, Warszawa 1956, wyd. MON, str. 326.

lem polskim. — Następnie pożegnał się z nim i kazał mu się udać do swej kwatery. Wszystko to przypominało nominację wójta w zapadłej wsi...“ Str. 77).

Ta płaszczyzna historycznej powieści sprawia, że czytelnik nie tylko zastanawia się nad dziejami przeszłymi, ale stara się uaktualnić wydarzenia i wyciągnąć z nich naukę. Rymkiewicz potrafił być surowym, ale sprawiedliwym sędzią, równocześnie: pisarzem i wychowawcą.

Rymkiewicz kończy swą powieść akcentem jaśniejszym: wśród nocy dojrzewa racjonalistyczna, postępową myśl społeczna i polityczna młodego Konarskiego.

Należy przyznać, że lektura „Nocy saskiej“ jest interesująca. Sprawili to Rymkiewicz przede wszystkim dzięki jednej, bardzo ważnej zalecie pisarskiej: umiejętności lekkiego i ciekawego prowadzenia oraz wiązania akcji.

Stanisław Rolnik

Przegląd wydawnictw

MARIA RODZIEWICZÓWNA: „LATO LEŚNYCH LUDZI“¹⁾

„Lato leśnych ludzi“ należy do najlepszych książek Marii Rodziewiczówny, chociaż powstało w ostatnim okresie jej bujnej twórczości. Tutaj autorka odeszła od tak charakterystycznego dla niej schematu, od historii mocnego człowieka pochodzącego z małego dworku szlacheckiego, położonego na Kresach. Niemal wszystkie jej dzieła obracają się dokoła tej samej osi, a ludzie występujący w „Dewajtisie“ są podobni do tych, jakich spotykamy w „Klejnocie“ czy „Straszonym dziaduniu“. Inaczej jest w „Lecie leśnych ludzi“. Bohaterami powieści są trzej przyjaciele: Rosomak, z zawodu i zamiłowania ornitolog, Zuraw, botanik, oraz Pantera. Później przybierają dwaj inni: młody Coto i sędziwy Odrowąż. Ta kompania postanowiła sobie spędzić wiosnę i lato w głębi dzikiej, wręcz pierwotnej puszczy.



Dominantą powieści Marii Rodziewiczówny jest panteistyczne uwielbienie przyrody, która jest źródłem piękna, zdrowia fizycznego i moralnego oraz har-tu. Mieszkańcy lasu obrali sobie za hasło przyjaźń z każdym napotkanym zwierzęciem, braterstwo ludzi i wszelkiego stworzenia.

Powieść Rodziewiczówny pt. „Lato leśnych ludzi“ powinna być czytana przede wszystkim naszą młodzieżą. Tyle w niej uroku, świeżości i zdrowia moralnego, że z żalem rozstajemy się z tą lekturą.

¹⁾ „Iskry“, Warszawa, 1956.

POLA GOJAWICZYŃSKA: „OPOWIADANIA“²⁾

W miesiącu jubileuszu Poli Gojawiczyńskiej ukazał się tom jej utworów. Jest to zbiór nowel i opowiadań z lat przed- i powojennych. Ze starych utworów znajdziemy: „Górnoślazczkę“, „Powszedni dzień“, „Po tamtej stronie“ i inne opowiadania o tematyce śląskiej oraz „Dwoje ludzi“, „Biednego szczeniaka“, „Lipę“, „Pod ziemią“, „Przed nocą“, „W raju“. Do specjalnie interesujących należy zaliczyć opowiadania powojenne takie, jak „Koty“ i kapitalny „Kapelusz“. Nagromadzenie realiów, kunsztowne i trafne operowanie motywami prostymi i niewymyślnymi — to są rzetelne zalety talentu pisarskiego twórczyni „Dziewcząt z Nowolipek“ i „Opowiadań“.

„Opowiadania“ zostały wydane w twardej płóciennej oprawie, na pięknym papierze. Okładkę i obwolutę projektował Jerzy Jaworowski.

STANISŁAW DYGAT: „POLA ELIZEJSKIE“³⁾

St. Dygat, autor pięknego „Jeziora bodeńskiego“, wystąpił z nowym tomem pt. „Pola elizejskie“. Jest to zbiór miniatur literackich, tak częstych i cenionych we Francji, a tak rzadkich u nas. Są to przeważnie opowiadania 3- lub 4-stronicowe o bardzo różnorodnej tematyce: od filozoficznych alegorii do takich utworów, jak „Żołnierz Anzelm“ albo satyrycznych („Historia o Donverskim lamparcie i dzielnym wujaszku Walonie“). Zaletą dobrze skomponowanych miniatur jest ich lapidarność i żywość narracji. Niestety „Pola elizejskie“ czasami nudzą.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI: „NA LEŚNYCH BEZDROŻACH“⁴⁾

Są to proste, bezpretensjonalne opowiadania, napisane jednak nie tylko z głęboką znajomością przyrody, ale i z polotem literackim. Bohaterami tej książki są: ptaki, owady i zwierzęta zamieszkujące nasze lasy. W kilkunastu rozdziałach autor przedstawia wszystkie swoje ważniejsze spotkania z mieszkańcami puszczy, a czyni to z dużą szczerością i realistyczną prawdą. Do najlepszych wspomnień należy zaliczyć „Diałem wśród lasu“, znamionujące nie tylko serdeczne życie się z naturą, ale i dar snucia barwnej narracji. Co prawda znajdujemy strony słabe, wyraźnie nieudane, a nawet tchnące naiwnością, ale ten brak nieopanowania warsztatu pisarskiego wynagradza bezpośredniością relacji.

Okładka bardzo reklamowa i w dobrym guście. Zamiast źle odbitych rysunków skomponowanych przez Mirosława Pokorę, wolelibyśmy widzieć zdjęcia np. Puchalskiego.

jk

²⁾ „Czytelnik“, Warszawa, 1956.

³⁾ „Czytelnik“, Warszawa, 1956.

⁴⁾ „Iskry“, Warszawa, 1956.

Wycinki z prasy kulturalnej

Kadry! Kadry!

Co zrobić z reszłą kapłanów jedynowładztwa? (zwanego obecnie „kultem jednostki“). Oto problem, o którym pisze się niewiele i z rezerwą częstokroć osobliwą. Co prawda — niejedyn spośród owych kapłanów, zmieniwszy kostium, pisze o samym sobie do potomności i głośno manifestuje „odwilżowe“ nastroje, ale nie to jest najważniejsze. Im głośniejszą będą ci czarownicy wołać, tym wyraźniej wystąpi cała ich groteskowość. Chodzi o co innego, o problematykę tej jedynej w swoim rodzaju metamorfozy, jaką obecnie przeżywa nasze społeczeństwo.

Najwyraźniej wypowiedziano się na ten temat w „Po prostu“. Zofia Krzyżanowska w numerze 399 tego pisma mówi tak:

Demokratyzacja przeszła już ze stadium postulatów w stadium realizacji. Przeszła być hasłem, a stała się programem mniej lub więcej skonkretyzowanym, obejmującym różnorodną dziedzinę naszego życia. Realizować go będą ludzie. Ludzie — ale jacy? Nie jest to sprawą obojętną — szczególnie teraz, gdy w procesie demokratyzacji i decentralizacji kadry zyskują decydujące znaczenie. Od ich poziomu, inicjatywy i umiejętności będą zależały wyniki naszych zamierzeń.

Właściwi ludzie powinni znaleźć się na właściwych miejscach, skończyć z dożywotnymi dostojenstwami, nie dawać taryfy ulgowej nieukom i maruderom, skończyć z różnego rodzaju szumowinami, z moralną prostytucją z kombinatorami — radzi Krzyżanowska, ale jednocześnie ostrzega przed generalizowaniem:

Za ostro słusznych żądań kryją się postulaty fałszywe i niebezpieczne. Postulaty, które nie spotkały się dotąd z niezbędnym odporem. Należy do nich przekonanie, iż wczorajsi aktywiści powinni odejść jako skompromitowani błędami, w których brali bezpośredni udział. Mieści się ono również w tezie, iż uczciwy człowiek nie może uczestniczyć w realizowaniu dwu odmiennych systemów. Hasło „czystych rąk“ opiera się na generalnej nieufności do wczorajszego aktywu, faworyzując ludzi dotąd niezauważanych w procesie naszego budownictwa, ludzi stojących na uboczu, biernych i nijakich. W odmiennej formie przywraca stary ideał „człowieka bez przeszłości“ — z krzywdą dla tych, którzy w ciężkich nieraz konfliktach sumienia, trudnych warunkach wywalczyli nasze osiągnięcia, budowali dzisiejszy dzień. Kwestionuje również możliwość zrozumienia błędów i wynikające z tego prawo uczestniczenia w procesie ich usuwania. Postulat „czystych rąk“ stwarza w ten sposób niebezpieczeństwo odsunięcia ludzi aktywnych, ofiarnych i oddanych budowie socjalizmu, a przy tym bogatych w wieoletnie doświadczenia.

I tu natrafiamy na największą trudność. Jak oddzielić ziarno od plew? I kto ma tego dokonać? Gdzie są owi sprawiedliwi?

Czeszko chce założyć związek „frajerów“ — to jest takich ludzi, którzy nie chcą kombinować, pasyżować itp. (Przegląd Kulturalny Nr 211):

Niekiedy opanowuje mnie obłąkańcze pragnienie skrzyknięcia Pospolitego Ruszenia Frajerów, czy założenia Związku Obrony Praw Frajera — tego co najwinnie wierzy w dobrą wolę ludzką, tego co ma ideały, tego co daje się okradać i kantować, tego co sady, że rzecz można załatwić bez postawienia „pewnemu gościowi“ kolacji w „Bristolu“, temu co brnie przez dżunglę życia i wydaje mu się, że karczuje ją wtedy, gdy wycina w niej wążką ścieżkę, małe okienko ku słońcu — okienko zarastające co chwila.

O, bracia moi, Frajerzy, koniunktura nam sprzyja, a za tym nie dawajcie się zjeść w kaszy. Jesteśmy gatunkiem wymierającym, lecz szanse przetrwania istnieją i nawet jakby powiększyły się. Stanowimy urodę świata, nie powinniśmy wyginąć bez reszty, choć wiele wrogich sił sprzyścięło się przeciw nam.

Spod trafnej metafory Czeszki wyziera prawda. Tak! trzeba działać zbiorowo, trzeba działać szerokim frontem. I czy właśnie nie Front Narodowy taki powinien mieć cel?

Uwaga! demony!

Zdaniem Andrzeja Kijowskiego (Nowa Kultura Nr 338) — historia nie potwierdziła socjalistycznej myśli, że postęp to realizowanie coraz to szerszej wolności — bo:

Kiedy człowiek przystąpił do realizowania wolności, dostał się w niewolę. Dostał się niejako w niewolę wolności, zgodził się znieść niewolę aby nie stracił wolności. Korpusy wojsk wewnętrznych, urzędy bezpieczeństwa, żelazne prokuratury nie stały przeciw na straży niczych majątków, mówiły, że stoją na straży wolności ludu, zagrożonej naprawdę lub rzekomo przez wewnętrznych lub zewnętrznych wrogów. Każdy, komu droga jest myśl o wolności, udzielał im swego moralnego poparcia. Tym przeciw należy tłumaczyć, że w więzieniach stalinowskich załamywali się bojownicy, których nie zdolały ugiąć ani sanacyjne, ani hitlerowskie więzienia.

A dalsze wnioski? Tragiczne: rozum wydaje się Kijowskiemu ojcem nieprawych i wyrodnych dzieci, planowanie kultury kończy się wedle niego na obłudzie i cynizmie, a władza nie może obejść się bez mitu itp. A nadto ścigają Kijowskiego demony zła i katastroficzne wizje.

Wolno każdemu mieć ponure widzenia, ale czy Redakcja Nowej Kultury nie powinna była uważnie przeczytać tego, co napisał Kijowski? Czyżby Nowa Kultura nie wiedziała o tym, że stalinowszczyzna nie mogła realizować „coraz to szerszej wolności“? Jakże można kwalifikować wartości myśli socjalistycznej na podstawie wypaczeń socjalizmu? A może podobaly się redakcji paradoksalne zestawienia Kijowskiego? Jestem przekonany, że niejedyn

czytelnik, zapoznawszy się z nimi, pozostanie pod „urokiem“ błyskotliwej inteligencji znakomitego publicysty i nie zauważy błędu logicznego, na którym opiera się cały wywód.

Dalej: należy uspokoić Kijowskiego: Społeczeństwo polskie nie jest najwne i wiadomo było powszechnie, choć „po cichu“, co sądzić o kulcie jednostki, o zamordyzmie, lakiernictwie i wszystkich innych plagach minionego okresu. Nie zakończył się ten okres jakąś „katastrofą“ (po co te greckie figle?) — ale każdy po prostu odetchnął, że wreszcie...

Niestety: coś niecoś po tamtych czasach zostało — między innymi to, że niektórzy publicyści, nawykliży do gwałcenia logiki, do afektacji i gadulstwa, dalej „rozrabiają“ i „intelektem“ swoim oraz demonami straszą spokojnych obywateli.

Niech żyją madaliana!

Zdawało się, że Mandalian: ulegnie Przybosiowi, ale nie — nie uległ! Przeciwnie: wystąpił z własnym programem naprawy naszego piśmiennictwa (Nowa Kultura Nr 338). Słuchajcie! Słuchajcie!

Uważam, że ułatwienie kontaktów z terenem, organizowanie spotkań z czytelnikami, dyskusji

z politykami, naukowcami, przedstawicielami innych gałęzi sztuki, polemiki nad wybranymi zagadnieniami literackimi itd. itp. to w dalszym ciągu słuszny kierunek pracy. Ale pod jednym warunkiem. Pod warunkiem, że Związek zrzeknie się martwych „form wychowawczych“, zrzeknie się anachronicznej dziś funkcji instancji ideologicznej. Wtedy dopiero będzie mógł zostać rzeczywistym propagatorem sztuki socjalistycznej, organizatorem dyskusji światopoglądowo-warsztatowych, ośrodkiem życia intelektualno-artystycznego całego ogółu pisarskiego, bez podziału na takie czy inne grupy.

Już słyszę wołania: „Zrzekamy się martwych form wychowawczych! nie chcemy być instancją ideologiczną, ale chcemy być propagatorami sztuki socjalistycznej, organizatorami dyskusji światopoglądowo-warsztatowych! nie chcemy podziału na takie czy inne grupy! jednością w jedności zjednoczeni być chcemy! a wszystkich tych, którym to się nie będzie podobało, nakłonimy do solidarności z nami przy pomocy dyskusji światopoglądowo-warsztatowych, referatów, haseł, okrzyków spontanicznych, skan=do=wa=nia i przeciwzonego entuzjazmu“. Niech żyją mandaliana!

Seweryn Śmiałowski

WOLNA TRYBUNA

Wąsatych dzieci nie trzeba niańczyć

Zabawna historia. Dodatek „Kultura i Życie“ w dn. 1 września drukuje kolumnę młodych, a w tydzień później parodię pt. „Wiersz?“ najwyraźniej wymierzoną przeciwko J. A. Tchórzewskiemu, którego wiersze znaczą coś w tej kolumnie. Wygląda na to, że dodatek „Kultura i Życie“ ocknął się post factum. Ba, strzeliliśmy głupstwo, trzeba to jakoś naprawić. Bo jeżeli poprzednio były zastrzeżenia, czy drukowane w kolumnie młodych wiersze to wiersze, dlaczego je drukowano? Z obowiązku?

Ale najzabawniejsze w tym wszystkim, że najbardziej oberwał najzdolniejszy z młodych poetów — Tchórzewski. Wydaje mi się, że z utworów zamieszczonych w ostatnich dwu kolumnach młodych (dodatek „Kultura i Życie“ z dn. 27 maja i 1 września) najlepsze i najbardziej znamienne są dwa wiersze właśnie Tchórzewskiego: „List z Warszawy“ i „Notatnik z Kazimierza“. Jest w nich zupełnie przyjemna melodia, są obrazy łączące ruch, kolor i nastrój, są ciekawe kontrasty akcentów lirycznych z ironicznymi, dużo wyobrazni. Dlaczego Mirosława Knorr pyta, czy to wiersze? Gdybym chciała być złośliwa, przytoczyłabym niektóre poezje drukowane w „Sztandarze Ludu“, co do których ani sama redakcja, ani czytelnicy nie mieliby żadnych złudzeń. Ze zdolniejszych młodych poetów trzeba wyliczyć Falatyckiego, Turczyńskiego i Księskiego. Widać u nich przebliski talentu przyćmione różnymi pięknościami i nadmiarem liryzmu. Przy okazji trzeba dodać, że „Kamena“ o wiele lepiej prezentuje młodych. Selekcja materiału jest trafniejsza. Na szczęście przeszły już te czasy, w których miesięcznik „Kamena“ z uporem parął się dziennikarstwem (Nr 5 i 6). Teraz dla odmiany dziennik „Sztandar Ludu“ próbuje swoich sił na polu poezji. W obu wypadkach rezultaty były jednakowe. Nieszczęśliwe.

W kolumnach młodych zadziwia brak niektórych nazwisk. A więc Sławomira Sobockiego, którego znamy z bardzo dobrych opowiadań, zdolnych krytyków: literackiego — Janusza Danielaka i plastycznego — Jerzego Ludwińskiego. Nazwisko Ludwińskiego spotykamy czasem w „Przeglądzie Kulturalnym“. Widocznie jednak „Przegląd Kulturalny“ ma mniejsze wymagania od „Sztandaru Ludu“. W „Sztandarze“ taki urodzaj na krytyków z prawdziwego zdarzenia, że nie potrzeba tam młodych ludzi obdarzonych pewną erudycją. Jeszcze się rozpanoszą. Co będzie wtedy z kategorycznymi sądami opartymi na widzi mi się?

Ogółem biorąc rozrachunek między kolumną młodych a „Sztandarem Ludu“ wygląda na jeszcze jeden z tak modnych dziś paradoksów. „Sztandar Ludu“ najpierw puszcza utwory młodych, a potem kpi z tego, co puścił, pobłażliwie przemilcza pozycje najsłabsze a w ogóle nie interesuje się zdolnymi i już dość znanymi autorami. Jak w takich warunkach może wyglądać współpraca między młodymi a „Sztandarem Ludu“? Czy kolumny młodych właściwie reprezentują twórczość młodych?

Mówi się o tym, że dobrze by było, gdyby Lublin miał swoje „Po prostu“. Gdyby się znaleźli młodzi, zdolni publicyści, to pewnie, że dobrze by było. Na razie takich nie widzę. Natomiast wydaje mi się, że są możliwości wzmocnienia kolumny młodych nowymi nazwiskami, rozszerzenia tematyki poruszanych w niej zagadnień na razie przynajmniej do zagadnień sztuki współczesnej.

Skoro „Sztandar Ludu“ puścił już w tym roku cztery kolumny młodych, to może poszedłby jeszcze krok naprzód i pozwolił młodym, żeby przynajmniej raz w miesiącu sami je redagowali. Ostatecznie to nie niemowlęta, niektórzy już pokończyli uniwersytety.

Maria Szczepowska

LUBELSKA INTELIGENCJA TWÓRCZA POPIERA WYNIKI OBRAD VIII PLENUM KC PZPR

K o m u n i k a t

Doniosłe wypadki polityczne w naszym kraju zaszły w chwili, gdy bieżący numer „Kamenu” był już wydrukowany. Dlatego też dołączamy do niego w postaci wkładki niniejszy ważny komunikat o postawie lubelskiej inteligencji twórczej w tym momencie historycznym.

Rezolucja, uchwalona w dniu 22.X. na zebraniu pracowników kultury, zwołanym z inicjatywy Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, z którą redakcja „Kamenu” całkowicie się solidaryzuje, brzmi:

Zebrani członkowie stowarzyszeń twórczych i pracownicy kultury w Lublinie wyrażają pełne poparcie dla polityki partii nakreślonej na VIII Plenum KC oraz dla nowego składu kierownictwa partii z tow. Gomułą na czele. Popieramy rozwijające przyjaźni z ZSRR na platformie wzajemnego poszanowania, równości i suwerenności narodowej.

- 2) Żądamy zrewidowania aktualnych zagranicznych umów handlowych.
- 3) Żądamy ujawnienia nazwiska korespondenta „Prawdy” — autora artykułu szkalującego dobre imię polskiej prasy i jej wierność sprawie socjalizmu i przyjaźni z ZSRR. Żądamy usunięcia tego korespondenta z obszaru Polski. Wyrażamy w tym przedmiocie swoją solidarność z uchwałą ZG Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.
- 4) Żądamy oczyszczenia aparatu partyjnego i państwowego z ludzi hamujących postęp i demokratyzację, z ludzi nie nadążających za życiem.
- 5) Żądamy usunięcia ze wszystkich stanowisk ludzi biernych, obojętnych na dolę człowieka, skompromitowanych, szkodników społecznych i gospodarczych.
- 6) Żądamy likwidacji zbędnych instytucji administracyjnych i gospodarczych, pasożytniczych na społeczeństwie.
- 7) Żądamy bezwzględnego, szybkiego i skutecznego reagowania na krytykę, szczególnie krytykę prasową oraz usuwania ze stanowisk ludzi obojętnych wobec krytyki.
- 8) Żądamy likwidacji szkodliwego zjawiska personalnej „karuzeli”.
- 9) Żądamy bezzwłocznego zwołania Plenum KW i KM celem dokonania oceny ich roli, jaką spełniły w okresie decydujących dni 19—22 października. Plenum to powinno być zwołane z udziałem szerokiego aktywu wysuniętego przez organizacje partyjne.

10) Żądamy publicznej wypowiedzi I sekretarza KW i I sekretarza KM na temat roli wojewódzkiej i miejskiej organizacji partyjnych w okresie przełomowych dni VIII Plenum.

11) Domagamy się, by nowe władze KW, KM i KP wybierane były w warunkach całkowitej demokracji.

12) Celem szybszego rozwijania demokracji i pełnego odzyskania więzi prasy z masami żądamy zniesienia zależności organów prasowych od aparatu partyjnego i ustalenia zasady zależności od instancji partyjnych oraz odpowiedzialności wobec prawa.

13) Walcząc z hamulcami postępu żądamy likwidacji Urzędu Kontroli Prasy — czynnika zafalszującego prawdę, niezbędną dla szczerzej i trwalej więzi z masami.

14) Żądamy szczegółowej informacji ze wszystkich dziedzin naszego życia gospodarczego i politycznego. W związku z tym domagamy się, by wszystkie tajne biuletyny, tzw. biuletyn specjalny i KBS zlikwidować na korzyść ogólnej publicznej informacji.

15) Żądamy zlikwidowania stacji zagłuszających programy zagraniczne a fundusze przeznaczone na ten cel proponujemy skierować na budownictwo mieszkaniowe.

16) Protestujemy przeciwko dyskryminacji prasy, jaka miała miejsce niedawno na konferencji Plenum KM PZPR.

17) Żądamy zwołania w najbliższych dniach nadzwyczajnego zebrania oddziału SDP celem omówienia pracy lubelskich zespołów dziennikarskich i wyciągnięcia wniosków organizacyjno-personalnych.

NIECH ŻYJE POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA!